Nr. 17—18 LWÓW, 1 WRZEŚNIA 1939 ROK LX



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Nr. 17—18 LWÓW, 1 WRZEŚNIA 1939 Rok LX

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO „ŁOWIEC“ TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SPRAWY ZWIĄZKOWE

DODATEK POŚWIĘCONY WIADOMOŚCIOM URZĘDOWYM

Doniosły okólnik

Prezes Sądu Apelacyjnego
we Lwowie
dnia 23 czerwca 1939 roku.

Prez. 12. 254/39.

W sprawie stosowania przez sądy
przepisów prawa łowieckiego.

Do Panów Prezesów Sądów Okręgowych
i Kierowników Sądów Grodzkich

Lwowskiego Sądu Apelacyjnego.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie doniosło mi, że wedle spostrzeżeń organów Towarzystwa zaznaczył się w ostatnich dwu latach bardzo silny wzrost kłusownictwa i wnykarstwa. Nie potrzebuję zwracać uwagi na znaczenie łowiectwa dla gospodarczego rozwoju kraju i na konieczność poparcia przez sądy usiłowań zmierzających do ochrony zwierzostanu i jego racjonalnego pomnażania.

Należy spodziewać się, że szybka i surowa represja karna przyczyni się do ukrócenia niszczycielskiej działalności kłusowników i proszę, by Panowie Sędziowie przez pobłażliwe traktowanie tych spraw, a zwłaszcza przez zawieszanie wykonania kar w wypadkach nie odpowiadających warunkom art. 61 kk. i intencjom ustawodawcy nie stwarzali u nich poczucia bezkarności.

Uwagi powyższe proszę podać do wiadomości wszystkim pp. Sędziom, orzekającym o sprawach karnych.

w. z. *E. Ojak*
Wiceprezes Sądu Apelacyjnego

Kalendarz myśliwski na miesiąc wrzesień

(w opracowaniu A. Sandera)

We wrześniu wolno polować na dziki, jelenie - byki, samy-kozły i borsuki, na ptactwo wodne i błotne, nie wyłączając dzikich łabędzi i dzikich gęsi, tudzież bataljonów, na kuropatwy, przepiórki, słonki, pardwy, jarząbki, dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty i cietrzewie-koguty, a w województwach wileńskiem, nowogródzkiem, białostockiem, poleskiem i wołyńskiem także na cietrzewie-kury, jednak tylko do dnia 14-go (włącznie) tego miesiąca. Polować też wolno na wilki, lisy, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, gronostaje, łasice i króliki, tudzież na wszelkie ptactwo krukowate i drapieżne, z wyjątkiem jednak puhaczy, na które tylko w województwie wileńskiem wolno polować już od dnia 16 września.

●

UZUPEŁNIENIE
sprawozdania z uroczystości polsko-węgierskich

W sprawozdaniu z uroczystości polsko - węgierskich na Przełęczy Tucholskiej, („Łowiec“ Nr. 15—16, Dodatek, str. XLVII), opuszczono przez przeoczenie nazwisko dra Stanisława hr. Tyszkiewicza, wiceprezesa M. T. Ł., który brał w tych uroczystościach udział jako jeden z delegatów P. Z. Ł.

A. Sander.

●

P. T. Członków

zalegających z wkładkami prosimy o szybkie ich wyrównanie, by uniknąć wysyłania inkassa pocztowego, co powoduje wzrost kosztów.

Biuro M. T. Ł.

ZŁOM MYŚLIWSKI NA F. O. N.

Z kół myśliwskich otrzymaliśmy uwagi, które tu umieszczamy w przekonaniu, że zyskają one powszechną aprobatę i że zawarta w nich inicjatywa znajdzie w praktyce jak najszersze zastosowanie.

Redakcja.

Z nastaniem sezonu polowań jesiennych warto przypomnieć zbiórkę złomu myśliwskiego na F. O. N. Jak wiadomo, zbiórkę zainicjowało przed dwoma laty wydawnictwo „Łowca Polskiego“. Ze wzmianek i artykułów, pojawiających się w tem czasopiśmie, dowiadujemy się, że akcja zbiórkowa rozwija się na ziemiach województw centralnych coraz lepiej, obejmując coraz to liczniejsze rzesze myśliwych, oraz — co najważniejsze — dając coraz lepsze rezultaty. Autorowie tych wzmianek słusznie podkreślają, że warunkiem udania się akcji zbiórkowej jest jej powszechność i gdyby nawet nie udało się doprowadzić jej z czasem do 100%, to w każdym razie należy dążyć, aby znalazła się w pobliżu tego.

Także „Łowiec“ zamieścił w Nr. 7—8/1938 apel p. H. Pichety i wskazówkę, gdzie zużyte łuski po zgromadzeniu ich w większej ilości należy odprowadzać. W akcji tej Małopolska pozostaje niestety w tyle, a dzieje się tak dlatego, że sprawa zbiórki zużytych łusek jest ciągle jeszcze przez ogół myśliwych niedoceniana, a nawet lekceważona. I temu należy wyłącznie przypisać, że tam nawet, gdzie zbiórkę rozpoczęto, wydała ona nikłe rezultaty. Niektóre powiaty drukowały nawet odezwy, rozsyłając je wszystkim myśliwym, mimo to nie odniosło to poważniejszego skutku.

Celem zbiórki, jak wiemy, jest uzyskanie cennego surowca w postaci miedzi, wytapianej z mosiądzu (okucia łusek śrutowych, łuski kulowe i t. p.). Surowca tego Państwo niema i musi go sprowadzać. Porzucając niepotrzebny nam materjał, marnujemy go, ułatwiamy przytem kłusownikom wejście w posiadanie porzuconych łusek, co dzieje się często za pośrednictwiem chłopców z nagonki.

Aby akcję zbiórkową ruszyć z miejsca i zapewnić jej większą skuteczność, należałoby zacząć od polowań zbiorowych. Gospodarz urządzający polowanie powinien przeznaczyć jednego chłopca z nagonki do zbierania łusek, zaopatrując go w niewielki worek, na którym dużymi literami umieścić należy napis: F. O. N.. Po każdym miocie czy kotle, chłopiec obchodzi wszystkich myśliwych i podstawia worek, do którego myśliwy wrzuca wystrzeloną łuskę. Niejeden myśliwy przypatrzywszy się tej inowacji, zastosuje ją bezwątpienia na najbliższem polowaniu u siebie i w ten sposób akcja będzie się mogła rozpowszechniać. Ważnem jest, aby łuski odprowadzać do zbiornicy powiatowej w stanie uniemożliwiającym komukolwiek ich przeróbkę. Najlepiej uskutecznić to przez obcięcie tekturki, lub rozcięcie wzdłuż (obustronnie), w ostateczności przez dokładne zgniecenie.

W ramach X. Jubileuszowych Targów Wołyńskich w Równem odbędzie się w dniach 15 — 25 września 1939. Wołyńska wystawa łowiecka urządzona przez Wołyńską Wojewódzką Radę Łowiecką.

●

PROGRAM
ZAWODÓW STRZELECKO-MYŚLIWSKICH
w czasie Wystawy Łowieckiej w Równem
w dniu 16 września

Konkurencja I.

50 rzutków, odległość 15 m, broń śrutowa, najwyżej kalibru 12, naboje śrutowe 2,5 mm. W serjach 10, 15, 15, 10. Wpisowe zł. 10.

Konkurencja II.

Strzał kulowy do jelenia z broni dowolnego kalibru, odległość 100 m, 10 strzałów w 2 serjach po 5 przebiegów. Wpisowe zł. 3.

Konkurencja III.

Strzelanie do dzika, odległość 50 m, 10 strzałów w 2 serjach po 5 przebiegów. Wpisowe zł. 3.

Konkurencja IV.

Strzelanie do dzika podwójnego (dublet), odległość 50 m, po 2 strzały w 5 przebiegach. Wpisowe zł. 3.

Udział w Zawodach brać mogą jedynie członkowie P. Z. Ł.

Zgłoszenia pisemne przyjmuje do dnia 10 września Wojewódzka Wołyńska Rada Łowiecka, Łuck, Kraszewskiego 1, w dniu 15 września Komisarz Zawodów p. St. Torka — Pawilon Wystawy Łowieckiej w Równem, a w dniu Zawodów zapisy przyjmowane będą na strzelnicy do chwili rozpoczęcia danej konkurencji.

Zawodników obowiązuje regulamin Narodowy Myśliwskich Strzelań Sportowych.

Amunicja śrutowa kalibru 16 i 12 będzie do nabycia po zniżonych cenach na miejscu.

Wołyńska Wojewódzka Rada Łowiecka.

ROMAN BALKO
LATOSZYN

ZE WSPOMNIEŃ NADKOMISARZA

Ustrój władz polityczno - administracyjnych w dawnej Austrji rozróżniał dwie kategorje urzędników: konceptowych i manipulacyjnych. Konceptowi, t. zn. narybek na przyszłych starostów, musieli mieć ukończone studja prawnicze. Po ukończeniu uniwersytetu, zdaniu trzech egzaminów państwowych i odbyciu przepisanej jednorocznej służby wojskowej, kandydat wnosił podanie o przyjęcie go do Namiestnictwa we Lwowie, a przyjęty otrzymywał tytuł praktykanta konceptowego c. k. Namiestnictwa. Musiał własnym kosztem sprawić sobie przepisowy mundur i tak długo bezpłatnie pełnić służbę, aż się otworzyło wolne „adjutum“ w kwocie 1000 koron rocznie, co często i dłużej jak rok cały trwało. Wobec tych warunków i godności, jakie w zamian ten stan urzędniczy dawał, bo zarówno namiestnik we Lwowie, jak i starosta na prowincji na wszelkich uroczystościach i obchodach państwowych i kościelnych reprezentowali cesarza, urzędnicy polityczni w stosunku do innych dykasterji zajmowali podobne stanowisko, jak n. p. kawalerja do innych rodzajów broni przy wojsku. Przed upływem trzech lat służby praktykant musiał zdać w Namiestnictwie 4-ty pisemny i ustny egzamin t. zw. „praktyczny“, poczem miał drogę do awansów otwartą. Wyszkolonych już, młodych urzędników konceptowych, prezydjum Namiestnictwa, w miarę zapotrzebowania, bądźto przydzielało do swych departamentów, bądźto szczególnie uzdolnionych i do pióra zapalonych doktorów prawa do Ministerstwa we Wiedniu, lub też, co najczęściej się zdarzało, do poszczególnych starostw powiatowych. Tych przenosin na prowincję najwięcej się obawiano, bo nie wszystkie starostwa miały dogodną komunikację ze Lwowem czy Krakowem, do których to centrów zawsze młodzi ludzie tęsknili, nie wszystkie miały stację kolejową w miejscu. Pamiętam, że w czasach, które tu opisuję, postrachem było starostwo w Turce, bo Turka wówczas miała stację kolejową w Samborze, o kilkadziesiąt kilometrów odległą, tak że jazda do stacji trwała cały dzień. Prócz oddalenia od centrów bardzo ważną rolę odgrywała również osoba wszechwładnego wówczas starosty, od którego tajnej kwalifikacji cała często karjera urzędnika zależała. Byli między starostami ludzie bardzo godni i wyrozumiali, ale trafiali się również zgryźliwi i nieżyczliwi. Pozatem wówczas, gdy nie było radja, ani w małych miasteczkach kina, gdy zwykłemi dystrakcjami podczas długich wieczorów zimowych były karty, plotki i flaszka, szczęśliwym mógł się czuć na partykularzu tylko ten, kto był w możności trzymać własne konie wyjazdowe, aby mógł bywać w okolicznych dworach ziemiańskich, gdzie urzędnika starostwa zawsze mile widziano i wogóle ten, kto lubiał wiejskie przyjemności: polowanie i jazdę konną, bo te przyjemności połączone z zajęciami urzędowemi energję młodego wyczerpywały, tak, że wieczory najchętniej spędzał na wypoczynku w domu z książką lub gazetą w ręku.

Te wszystkie warunki do dobrego samopoczucia na powiatowej posadzie, jakoś szczęśliwie u mnie się złożyły. Ba, nawet więcej, bo bliskie sąsiedztwo moich rodziców. Równo 40 lat temu, odbywając służbę jako praktykant konceptowy w Namiestnictwie, a przewidując, że niebawem wyślą mnie na powiat, starałem się zawczasu o przeniesienie do starostwa w Jaworowie lub Cieszanowie, ponieważ majątek mojego ojca znajdował się na pograniczu obu tych powiatów. Dzięki stosunkom, jakie rodzice moi utrzymywali z wpływowymi wówczas kierownikami Prezydjum Namiestnictwa, pp. Mautnerem i Lidlem, prośba moja została uwzględniona i zostałem przeznaczony do służby w starostwie cieszanowskiem. Z Cieszanowa do majątku ojca było 25 kilometrów drogi. Cóż to za odległość dla młodego i zdrowego, w biurze wyspoczywanego, na dobrym koniu na przełaj przez lubaczowskie lasy, zwłaszcza w lecie? Każdą niedzielę tam przepędzałem. Bo chociaż rodziców w zimie na wsi nie było, było kilkaset *ha* własnego lasu z dzikami, miłe sąsiedztwo pp. Morawskich i Małachowskich i niekontrolowana stosunkami małomiasteczkowemi swoboda. Zanim zatem przygodne dotychczas znajomości moje z obywatelstwem powiatu cieszanowskiego się zacieśniły, te eskapady do naszej wsi były dla mnie bardzo miłą ucieczką od małomiasteczkowej monotonji. Później, ze zmianą w osobie starosty, to się zmieniło.

Razu pewnego przybyłem w porze letniej przed sianokosami do Budomierza, a nie zastawszy rodziców w domu, bo wybrali się z dalszą sąsiedzką wizytą, wyszedłem po podwieczorku do lasu na zasiadkę. O półtora kilometra od domu znajdowała się łąka „Białowiec“, lasem okolona, nieopodal trzech granic leśnych, a to lasów lubaczowskich, hruszowskich i naszych, malowniczo położona, z przebiegającym ją małym strumykiem. Uzbrojony w „Büchsę“ Cal. 450, lewa 16-ka, zaopatrzony w zajmującą książkę do czytania, zająłem miejsce pod ścianą leśną łąki w odległości 80—100 kroków od strumyka, po obu brzegach którego rosła młoda olszyna. Siedziałem tam około 2 godzin i już miałem stanowisko opuścić, zwłaszcza że wysoka trawa nie dawała na łące należytego przeglądu, komary gryzły niemożliwie i miało się już ku późnemu wieczorowi, gdy w olszynce nad potokiem zobaczyłem zwolna posuwającą się dziką świnię. Gdy świnia zrównała się z mojem stanowiskiem, czekałem już na nią z dobrze wymierzoną strzelbą i strzeliłem. Po strzale dymnym prochem straciłem ją zupełnie z oczu i dopiero gdy się do miejsca zbliżyłem zobaczyłem świnię w potoku, do którego po strzale się zsunęła i z którego już wydostać się sił nie miała. A w koło miejsca tego w trawie prosięta uganiające, które wkrótce znikły. Przed odejściem do domu po ludzi i konie dla zabrania zdobyczy, przypomniawszy sobie przysłowie „o sicherze i Manlicherze“, strzeliłem jeszcze raz do ruszającej się świni. Obie później przy obielaniu zwierza kule znala-

złem nieopodal komory, ze znanym skutkiem: wylot kuli wielkości pięści. Zacna to była ta Büchsflinta C. 450. Była od firmy „Peter Wernig“ Ferlach, kupiona jeszcze za czasów akademickich z drobnych oszczędności za 75 kor.! Miała tylko jedną wadę, że kopała tak, iż po kilku strzałach do tarczy wyglądałem jak po przegranym meczu bokserskim. Ale i na to znalazłem sposób. Ilość prochu w nabojach zmniejszyłem, a powyżej poduszki łoża kazałem stelmachowi wyciąć otwór, który wypełnił mi pakułami a całość obił skórą. W ten sposób powstał na łożu materac, który chronił od kopania.

Na pożegnalnej audjencji oświadczył mi śp. hr. Piniński, ówczesny namiestnik: „Pan odchodzi do Cieszanowa. Niech się pan tam pilnuje, bo tamtejszy starosta jest mało energiczny“. Pięknie się ukłoniłem i pomyślałem: dobrze że tak jest, bo wolę sam siebie pilnować, niż żeby mnie pilnowano.

Stolica powiatu, Cieszanów, maleńkie, bo około 3000 dusz liczące miasteczko, 6 *km* od dawnej granicy rosyjskiej oddalone, bardzo skromnie się wówczas przed-



Namiestnik
Śp. Leon hr. Piniński

stawiało. Środek miasteczka zajmował rynek, do którego przytykały: kościół parafjalny i kilka murowanych domów piętrowych. W tych domach mieściły się liczne urzędy. W środku rynku stała propinacja. Z rynku na cztery strony świata rozchodziły się ulice, za miasteczkiem w gościńce przechodzące. Urzędnicy mieszkali w domach małomieszczańskich drewnianych, w uliczkach. O komforcie mieszkaniowym nie było mowy, zato niebezpieczeństwo licznych pożarów wielkie. Tylko starosta i radca sądowy mieli swoje pomieszkania w tych domach murowanych, w których urzędowali. Dla mnie nowoprzybyłego absolutnie pomieszkania nie było. Zlitował się nademną proboszcz ksiądz A. Zawadzki i umieścił mnie w „domu ubogich“ naprzeciw plebanji, w którym mieszkały dwie babki, kościół zamiatające. Babki dał obie do jednej izby, a drugą przeznaczył dla mnie. Chałupeczka była niska, izdebka ciemna i uboga, podłoga zniszczona, dla mojego służącego i dla konia pomieszczenia nie było.

Przyznaję, że w tem pomieszkaniu czułem się trochę nieszczęśliwym, więc zaopiekowały się mną stare, pięćdziesięcioletnie siostry księdza proboszcza, którym za to załatwiałem potem sprawunki we Lwowie. Jedna kazała sobie kupić kapelusz, druga rękawiczki. Kapelusz miałem wybrać według mojego gustu, a co do miary rękawiczek, to powiedziały mi, abym kupił *glacé*, takie, by były dobre na rękę silnego mężczyzny. Poczciwe były te siostry ks. proboszcza i starały się każdemu, kto do nich się z jaką prośbą zwrócił, w miarę możności wygodzić. A z jakim skutkiem, opowiem. Oto raz przechodząc koło



Zdjęcie A. Tabińskiego dla „Łowca“

Fragment z rynku w Cieszanowie

plebanji usłyszałem, jak jedna z sióstr zawodziła: „A niech ci Pan Bóg nie pamięta tego, żeś mi duszę wykrzywił“. Zafrapowany tem zawodzeniem o Panu Bogu i duszy, wysłałem mojego służącego na zwiady, co się właściwie stało. Ten po pewnym czasie wrócił i opowiada, że mój sąsiad urzędnik, wielki higjenista, urządzał sobie łaźnię w pokoju w ten sposób, że siadał do próżnej wanny, prześcieradłem się nakrywał i rozpaloną cegłę, do wanny włożoną, polewał wodą, aby mu parę robiła. Ponieważ cegła jakoś mu źle funkcjonowała, pożyczył na probostwie duszę od żelazka do prasowania, rozpalał ją w piecu do czerwoności i polewając ją, łaźni używał. Dusza wskutek tych manipulacji wyszła z fasonu, czyli nastąpiło, jak biadała właścicielka „wykrzywienie duszy“.

Sam proboszcz, powszechnie kanonikiem tytułowany, była to persona, bezwzględnie najwyżej w mieście poważana. Był w sile wieku, człowiek roztropny, nietyle lubiany o ile ogólnie szanowany, ponieważ całą parafję mocno w ręku trzymał. Ja, jako jego lokator z „domu ubogich“ i komisarz powiatowy, zastępca starosty, byliśmy u proboszcza codziennymi gośćmi. Mnie żartobliwie w odróżnieniu od moich starszych kolegów ze starostwa, tytułował „nadkomisarzem“, co się ogólnie przyjęło. Wkrótce przybył mi i drugi tytuł: „wikarego“, dlatego, bo często na probostwie bawiłem. Proboszcz był bardzo towarzyski. Każdej niedzieli po sumie kolator i co było w mieście lepszego, wszyscyśmy się u niego na pogawędkę gromadzili. Proboszcz rozszerzał kościół, a że parafja była właściwie uboga, radził sobie jak mógł, by fundusze na budowę zgromadzić. A radził sobie własnym kosztem i poświęceniem. W czasie karnawału co dwa tygodnie dawał bal i przyjęcie sute. Pod koniec kolacji, pani A., miła i sympatyczna żona jednego z dygnitarzy miejscowych, obchodziła gości z tacą, na kościół zbierając. W tym nastroju każdy chętnie co mógł dawał i kościół w ciągu lat kilku, dzięki staraniom i ofiarności proboszcza, dwukrotnie został powiększony. Na tych przyjęciach poznałem dokładnie cieszanowskie towarzystwo. Nie brakowało i wielu wesołych incydentów. Oto razu pewnego znalazł się na balu u proboszcza, pan kapitan od ewidencji pospolitaków, urzędujący przez kilka tygodni w Cieszanowie. Kapitan był bibułą i popijał srogo podczas całej kolacji. Po kolacji towarzystwo udało się do salonu i saloniku, młodzi na tańce, starsi na partyjkę. Kapitan, nieźle już wstawiony, sam pozostał przy stole w jadalni, a gościnny proboszcz kazał mu postawić jeszcze kilka butelek, aby się nie nudził. Po upływie pewnego czasu, podczas najlepszej zabawy, usłyszeliśmy z jadalni dochodzący łomot i wrzask. To kapitan kompletnie już urżnięty usnął a zbudziwszy się, ponieważ mu się przyśniło, że jest w restauracji, zaczął bić pięścią w stół i wołać *„zahlen“*. Gdy na to nikt ze służby nie reagował,



Zdjęcie A. Tabińskiego dla „Łowca“

Fragment z rynku w Cieszanowie

więc kapitan jako człek honorowy, chcąc zapłacić, coraz głośniej bił w stół i coraz głośniej wołał. Nadbiegł proboszcz i societa, a że kapitana uspokoić było trudno, posłało się po jego forysica, aby go sobie zabrał na kwaterę, co z pewnemi trudnościami, przy pomocy domowników nastąpiło. Innym razem, gdy proboszcz grał w saloniku w wista, a w salonie ochoczo tańczono, młody, nowoprzybyły ks. wikary dał się namówić do mazura. Wytłumaczono rozochoconemu, że gdy w sąsiedniej gr. kat. parafji ks. wikary Fartuch nietylko tańczy, ale i tańce prowadzi, to ksiądz może z nami mazura zatańczyć. Gdy krótkowidzący wikary przy zmianie zagubił danserkę, a ta tem rozbawiona usiadła między matkami, ktoś wikarego namówił do piosenki „uciekła mi przepióreczka“. Zwabiony ogólną wesołością proboszcz, gdy od kart zaglądnął a zobaczył i usłyszał co się dzieje, zgromił wikarego słowami: „Ksiądz Fartuch może sobie tańczyć, ja księdzu nie pozwalam, a jak księdzu przepióreczki w głowie, to niech idzie spać“.

Drugą ważną osobistością w Cieszanowie, po księdzu proboszczu faktycznie najwięcej respektowaną, był komisarz powiatowy starostwa, Władysław K. Był on zastępcą starosty, duszą urzędu, był w wieku lat czterdziestu kilku, miał 20 lat służby za sobą i był kawalerem. Był specjalistą w przeprowadzaniu wszelkich wyborów i tak jakoś za jego urzędowania się składało, że wszyscy agitatorzy wyborczy w wyborach nie mogli brać udziału, bo w ten dzień każdy miał jakiś termin w Sądzie obwodowym, w Izbie skarbowej lub nawet w Prokuratorji. Przytrafiało się to zwłaszcza regularnie księżom gr. kat., którzy uprawiali politykę. Wkrótce po mojem przybyciu do Cieszanowa miały się odbyć wybory do Sejmu galicyjskiego. Starosta, niechcąc się fatygować, powierzył przeprowadzenie ich komisarzowi. Ponieważ zaś na posła kandydował kolator kościoła w Cieszanowie, przeto w przygotowaniach do wyborów ofiarował swą pomoc ks. proboszcz, który, jak się okazało, miał również do tego talent niepospolity, a kolatora miłował. Obaj oni świetnie wybory zorganizowali, tak że kolator znaczną większością głosów został wybrany do Sejmu. Pozornie nic się przed wyborami nie działo, nikt przygotowań nie zauważył. Bo czyż mogła kogoś zaintrygować okoliczność, że proboszcz odbył w przeddzień wyborów konferencję przy drzwiach zamkniętych z rzeźnikami cieszanowskimi, chłopami jak dęby, albo że podobną konferencję odbył komisarz powiatowy z właścicielami szynków w rynku? Pierwsi byli parafjanami i mogli być wezwani do narady nad rozbudową kościoła, a sprawy szynkarskie należały do resortu starostwa. A że na kilka dni przed wyborami przyjechało do Cieszanowa dwóch nieznanych inteligentów, którzy założyli sobie tuż obok starostwa kancelarję, to mówiono, że są to dwaj agenci dla werbowania ludzi „na saxy“.

W sam dzień wyborów miałem jako najmłodszy urzędnik starostwa polecenie nadzorowania porządku w mieście, co było bardzo łatwem zadaniem, bo żandarmerji na ten dzień skonsygnowanej było podostatkiem. Przechadzając się po rynku w pełnym mundurze zauważyłem przyjazd pewnego proboszcza ruskiego, który miał reputację żarliwego agitatora. Dziwiłem się, że ten „najniebezpieczniejszy“ niema terminu na ten dzień gdzieś w sądzie. Później dopiero poznałem „trick“ komisarza do niego zastosowany. Ksiądz, czułem to, z „duszą na ramieniu“ zapytał mię, czy w mieście bezpiecznie i czy mu nic nie grozi. Odpowiedziałem, że bezpiecznie, wskazując na swój mundur i szablę. Ksiądz wysiadł z wózka i udał się przed lokal wyborczy, aby tam działać. Po chwili przyłączył się do niego żandarm i nie odstępował go przez cały czas jego pobytu w Cieszanowie ani na krok, tak że ksiądz wszelkiej agitacji musiał zaniechać i w piekielnym humorze wkrótce wyjechał. Przed lokalem wyborczym widziałem rzeźników uwijających się w grupkach po 2—3, czasem tylko zauważyłem mały tumult, poczem jakiś niefortunny wyborca „brał nogi za pas“. Z rękoczynów zauważyłem tylko jeden. Oto właściciel szynku Sisio Spirgel, potężnej budowy żyd, jakiegoś wyborcę z szynku wyrzucił i dał mu kopniaka ze słowami: „Schweine können Wasser trinken“. Po wyborach wpłynął protest. Były w nim ciężkie zarzuty przeciw „czystości wyborów“, a mianowicie, że rzeźnicy bili, że obok lokalu wyborczego była kancelarja w której płacono za głosy, że szynki dostały polecenie nie przyjmowania w gościnę źle głosujących, w końcu żalił się proboszcz gr. kat., któremu żandarma przydzielono, że wskutek tego doznał ograniczenia wolności osobistej. Wobec tak ciężkich zarzutów Namiestnictwo wydelegowało do Cieszanowa na dochodzenia znanego ze skrupulatności w urzędowaniu p. radcę Namiestnictwa ze Lwowa P. Pan radca bawił w Cieszanowie kilka dni i prowadził dochodzenia. I ja byłem przez niego do protokołu przesłuchany. Nie mogłem poświadczyć, że były bójki, bo ich nie widziałem. A co do faktu wyrzucenia z szynku wyborcy przez S. Spirgla z kopniakiem, to świadczyć nie potrzebowałem, bo sam szynkarz przyznał, że chłopa wyrzucił za to, że „pyszczył“ jakieś głupstwa na wybory i psuł innym gościom zabawę. Co do asysty żandarmskiej dla księdza, zeznał sam komisarz, że ją zarządził dla bezpieczeństwa księżej osoby. Ci dwaj panowie, którzy pod bokiem starostwa w czasie wyborów urzędując, płacili rzekomo za głosy, znikli po wyborach jak kamfora, nikt ich nie znał i nie znalazł się żaden świadek ani na fakt przekupstwa, ani na inne, w proteście wyborczym wymienione. A zatem wobec braku dowodów śledztwo umorzono i wybór stał się prawomocnym, a dla mnie pouczającym.

Rzecz oczywista, że komisarz, który tak sprytnie potrafił przeprowadzać wybory, który miał ujmującą powierzchowność, nie był jeszcze zbyt stary, obracał się tylko w dobrych towarzystwach, nie pił, ba, nawet nie palił, był nietylko dobrze sytuowany, ale miał nadzieję, że niebawem zostanie starostą, — był pod obstrzałem zakusów małżeńskich nietylko licznych dojrzałych panien, ale i ich matek, które marzyły o tem, by swe „skarby“ u niego ulokować. Ale mijały dnie, miesiące, lata, a komisarz żadnej się nie oświadczył. Do płci pięknej odnosił się grzecznie, ale z pewnym sarkazmem. Zrażone tem niewiasty zaczęły śledzić, jakie były przyczyny tej wstrzemięźliwości i po pewnym czasie puściły oszczerczą plotkę, że komisarz woli młodych chłopców od niewiast. Gdy się komisarz o tem przypadkowo dowiedział, postanowił zareagować na tę plotkę na swój sposób. Oto dnia pewnego przywiózł mu mieszczanin, który go zwykle woził

*

na komisje, z Lubaczowa jakieś czupiradło żeńskiego rodzaju, w kapeluszu z wielkiemi piórami i wpuścił mu do jego mieszkania z kufrem. Nikt się temu nie dziwił, bo do komisarza po prośbie przyjeżdżały często różne petentki i petenci, a on, człowiek dobry i cierpliwy, nawet w mieszkaniu swojem ich próśb wysłuchiwał.

Dnia następnego spotkałem proboszcza zaaferowanego. Po przywitaniu, niepytany powiedział: „Wie pan nadkomisarz, że ten wasz komisarz zwarjował. Sprowadził sobie jakąś tinglówkę z Czerniowiec, mówi że to jego kuzynka, że jest śpiewaczką, że przyjechała do niego na kilka tygodni i proponował mi, bym ja jej dawał obiady, a ona za to będzie uczyła dzieci na chórze kościelnym śpiewać. Odmówiłem, bo przecież ja nie mogę się na ludzkie języki narażać“. Ale komisarz mimo odmowy proboszcza, postawił na swojem. „Kuzynki“ nie odesłał, zatrzymał ją u siebie, a ta wkrótce się zadomowiła, gospodarstwo mu prowadziła i „honory domu“ robiła. Po kilku tygodniach pobytu „kuzynki“, komisarz wydał z okazji jej pobytu przyjęcie. Podczas wesołej kolacji ktoś z zaproszonej cieszanowskiej society złośliwie poruszył kwestję, dlaczego komisarz się nie żeni. Na to „kuzynka“ chlapła: „Komisarz się nigdy nie ożeni, bo „Władzio ist kein Mann“. Wkrótce po tej kolacji kuzynka wyjechała, a plotka została.

Trzecią miarodajną osobą w Cieszanowie, i to osobą, która mieszkała jak wyżej wspomniałem w jednym z nielicznych murowanych domów, był radca sądowy T. T. Starszy pan, około pięćdziesiątki, kawaler. Ten był prezesem kasyna i urządzał huczne zabawy karnawałowe z tańcami, na które muzykę sprowadzano z Jarosławia, a panny bukiety kotyljonowe aż ze Lwowa. Poza radcą było w sądzie dwóch adjunktów - sędziów, także kawalerów i trzech żonatych kancelistów. Biednym kawalerem radcą opiekowały się panie kanceliściny, z których nawiasem mówiąc jedna była młoda i wcale ładna. Na temat tej „ładnej“ opieki krążyły różne plotki, było nawet raz zajście na zabawie kasynowej, bo zazdrosny mąż zrobił prezesowi kasyna publiczną awanturę, którą dopiero ja wraz z drugim moim kolegą po myśli obu stron „obrażonych“ szczęśliwie załatwiłem.

Sam starosta, ten — według słów pana Namiestnika — „mało energiczny“, był starcem i dosługiwał 39 i 40 rok do emerytury. Niezły człek, ale żądny już spokoju, wszystkie sprawy i strony odsyłał do komisarza. Sam robił tylko „pocztę“, to jest odbierał ją, otwierał i przydzielał „kawałki“ do załatwienia poszczególnym referentom. Pozatem nic go nie obchodziło. Zamiast podpisu używał pieczątki, więc nasze referaty gotowe i przepisane tylko pieczętował i z tą pieczęcią szły one w świat. Raz będąc chory, zgłosiłem się z podaniem o urlop zaopatrzonem w świadectwo lekarskie fizyka powiatowego, do starosty z prośbą o urlop. Starosta przeczytał podanie i w moich oczach prośbę i świadectwo podarł, oświadczając mi: „Proszę pana, ja w pańskim wieku nie chorowałem i na urlopy nie jeździłem“. Skutek tego był taki, że chcąc w roku następnym urządzić w majątku ojca polowanie, pojechałem na dwa dni bez urlopu. Starosta był oburzony, groził mi dyscyplinarką, ale na groźbie się skończyło. Wkrótce potem ustąpił po wysłużeniu swoich 40 lat.

Za jego urzędowania były dwa dość wesołe incydenty. Oto układając listę sędziów przysięgłych, umieściłem w niej pewnego ziemianina, którego starosta nie lubiał i uważał go za niezbyt mądrego. Gdy akt poszedł do aprobaty, starosta zawołał mnie do siebie na piętro i mówi: „Wykreśl pan tego bałwana, może nas skompromitować“. Gdy od starosty wyszedłem, właśnie szedł do niego w jakiejś sprawie ten „bałwan“. Ponieważ go dobrze znałem, powiedziałem mu, że niesłusznie uprzedzony jest do osoby starosty, bo ten dla niego tak życzliwie jest usposobiony, że kazał go wykreślić z listy przysięgłych, mówiąc, że żal mu jego trudów. Dodałem, że nie szkodziłoby, by za ten dowód dobrej woli staroście podziękował, co też nie omieszkał uczynić. Wkrótce potem starosta przyszedł do mojego biura i mówi: „Co za intrygi pan urządza między mną a p. B.?“ — a gdy mu sprawę wyjaśniłem, uśmiał się serdecznie.

Do starostwa wpływały liczne prośby poborowych izraelitów o pozwolenie na stawiennictwo w konsulatach. Prośby były zaopatrzone w fotografje. Antoni Dzioba, em. sekretarz starostwa, był moim pisarzem do pomocy. Rutynowany urzędnik, stracił posadę rządową, bo miał zwyczaj pierwsze śniadanie spożywać w szynku nie w domu i do godziny 10 przedpołudniem wskutek śniadań był w wesołem usposobieniu i płatał różne figle. Zauważyłem, że z podań giną fotografje i nie wiedziałem, komu i na co one mogły być potrzebne. W podwórzu starostwa była drewniana ubikacja. Razu pewnego wchodzę tam i zdumiałem. Istne atelier fotograficzne mniejszości narodowych. To był pomysł Dzioby, za który drugi raz ze starostwa wyleciał.

Po dwóch latach mojego w Cieszanowie pobytu, nastąpiły w urzędzie, w stosunkach małomiasteczkowych, ba, nawet powiatowych, z przybyciem nowego starosty wielkie zmiany, które i mojej dotyczyły osoby. Nowy starosta z małżonką, było to mimo starszego wieku szczerze kochające się małżeństwo, ludzie lubiący towarzystwo, prowadzili więc dom otwarty, byli bezdzietni, pani pielęgnowała kwiaty i ptaszki, starosta, biegły i rutynowany urzędnik, był zamiłowanym myśliwym. Ożywiło się starostwo, urzędowanie, dotychczas ospałe, nabrało szybszego tempa. Starosta z pocztą, którą poprzednik robił do południa, gotów był za godzinę, a sam niektóre pilne sprawy od ręki w tym czasie załatwiał, co nam, trzem urzędnikom, zajęcia ujmowało. Dom otwarty, jaki starostowie prowadzili, gościł licznych interesantów, zwłaszcza ze sfer ziemiańskich. Były liczne zaproszenia na zebrania towarzyskie i polowania w okolicy. A ponieważ ja do starosty zaraz przylgnąłem, bo mnie do niego zamiłowanie do polowań zbliżyło, a do obojga miłe ich towarzystwo; ponieważ ja miałem konie wyjazdowe, a fiakrów podówczas w Cieszanowie nie było, tylko żydowskie bałaguły, starosta zaś swoich koni nie utrzymywał, przeto tak się ułożyło, że na polowania zawsze jeździliśmy razem, ja ze starostą, co mnie bardzo odpowiadało. Wkrótce i na zebraniach różnych towarzyszyłem staroście, a że wówczas przemówienia były modne, a on był doskonałym mówcą, jazdy te były bardzo przyjemne, a czasem i zabawne. Razu pewnego poseł do parlamentu austr. zwołał wiec przedwyborczy. Starosta dał na wiec pozwolenie i ze mną na wiec się wybrał. Ponieważ poseł zaczął w przemówieniu bredzić, a starosta go prostować, bo poseł był słaby w elokwencji a starosta biegły, skończyło się na tem, że wiec zwołał poseł w duchu antyrządowym, a przemawiał więcej od niego starosta, naturalnie w sensie prorządowym, co było bardzo zabawne.

Polowań mieliśmy aż nadto. Starosta, notarjusz tamtejszy p. D. i ja, wynajęliśmy do spółki polowanie w trzech bliskich gromadach, prócz tego starosta dzierżawił polowanie w dwóch leśnych majątkach: Gorajcu i Moszczanicy, a gdy sezon zimowy przyszedł, mieliśmy nieraz i po dwa zaproszenia na polowania kniejowe dziennie, do okolicznych ziemian.

Powiat cieszanowski, dziś lubaczowski, obfitował zaś wówczas w znakomite polowania kniejowe. Należało do powiatu kilka wspaniałych latyfundjów. Na północny zachód od miasteczka ciągnęły się półkolem dobra Wattmanowskie: kilkanaście tysięcy *m* wspaniałych lasów i kilka w wysokiej kulturze rolnej uprzemysłowionych folwarków: Ruda różaniecka, Dzików, Cewków, Niemstów. Administrował niemi rotmistrz Hugo br. Wattmann, który później te dobra odziedziczył, bo ojciec, pułkownik kawalerji w stanie sp. ciągle był w podróży, admi-

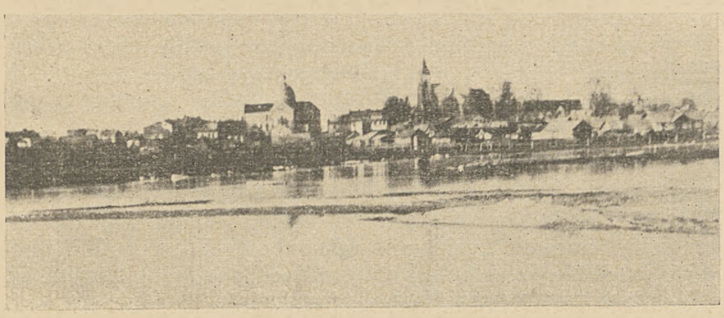
nistrując zarazem dobrami Zaleszczyki, które zostawił we wianie córce swej p. Turnauowej. Sławne tam odbywały się polowania, na których widywało się członków prezydjum Namiestnictwa we Lwowie i innych znacznych gości. Wspaniała była siedziba pp. Wattmannów w Rudzie różanieckiej. Za Cieszanowem wjeżdżało się



Okolice Cieszanowa

w piękne ich lasy, któremi prowadził własny gościniec. Wśród kniei raptem imponująca osada dworska, to Ruda ze swym pałacem, zakładami przemysłowemi, wszystko elektryką oświetlone. Stajnie z doborowemi końmi, do dalekich jazd wytrenowanemi, sztuczna hodowla pstrągów, które na przyjęciach po polowaniach podawano, i inne różne nadzwyczajności.

Dalej na zachód ciągnęły się dobra Oleszyckie, własność Władysława ks. Sapiehy z Krasiczyna. Również rozległe lasy i liczne folwarki. Na wschód od Cieszanowa był klucz Horyniecki, własność ks. Ponińskiego. Stronę południową i południowo-wschodnią zajmowały dobra Lubaczowskie, wówczas własność Adama hr. Gołuchowskiego, marszałka Sejmu krajowego we Lwowie. Naj-



Lubaczów. Widok ogólny. Na pierwszym planie woda z wylewu

Zdjęcie wykonane dla „Łowca“

bliżej Cieszanowa Nowe Sioło, własność Jana Gnoińskiego, również obszerna posiadłość z browarem i tartakiem. Ze średnich posiadłości: Chotylub Tytusa Zarzyckiego, Łówcza Kazimierza Jampolskiego, posła na Sejm krajowy, Lubliniec Zdzisława br. Brunickiego i i. W każdym z wymienionych majątków na polowaniu łatwo spotkać się było z dzikami. Nowe Sioło, najbliżej Cieszanowa, bo tylko o 4 km odległe, posiadało stałe barłogi dzicze, tak, że leśniczy opodal leśniczówki łapał dziki żywcem w doły z ziemniakami nakryte choiną. Toteż dzięki gościnności p. Jana Gnoińskiego, b. marszałka powiatu i posła, najczęściej tam byliśmy na dziki proszeni, a starosta mój z takiem zamiłowaniem na te polowania spieszył, że raz nawet w pośpiechu swe sztuczne zęby zapomniał w domu, tak że mój furman tuż przed śniadaniem w lesie, na galop musiał po te zęby do Cieszanowa wracać. Trudno by mi było dziś wyniki tych polowań, po tylu latach, szczegółowo opisywać. Raz w Nowem Siole zastrzeliłem dzika, który wyszedł na mnie na 40 x i stał jak do fotografji. Prócz tego dwa fragmenty z tych łowów na zawsze utknęły mi w pamięci. Oto raz, pamiętam, na zaproszenie Hugona br. Wattmanna wybraliśmy się na polowanie do Niemstowa. Zaraz w pierwszym miocie, gdy nagonka ruszyła, zobaczyłem przed sobą rudel z kilkudziesięciu sztuk sarn złożony, które na mój widok tak zakotłowały, że o strzale do pojedynczej sztuki mowy nie było. Toteż ze strzelca zamieniłem się w widza pełnego podziwu. W dobrach lubaczowskich na polowaniu bywał osobiście pan marszałek Sejmu i właściciel



Marszałek krajowy
Śp. Adam hr. Gołuchowski

Adam hr. Gołuchowski, ale bez strzelby, bo jako bardzo krótkowidzący strzelby do rąk nie brał. Towarzyszył na stanowiskach myśliwym i jako miły gospodarz zabawiał ich rozmową, tak miłą jak i jego osoba. Raz tak się złożyło, że polowania nie urządzono w sezonie, przyszło więc polecenie do zarządu dostarczenia kilku kozłów. Starosta jechać nie mógł, więc pełnomocnik p. Friser zaprosił mnie na te kozły do Lubaczowa. We dwójkę wyjechaliśmy na podjazd, p. Friser powiedział mi: „Co po pańskiej stronie, pan strzela, co po mojej, ja“. Do południa w ciągu kilku godzin p. Friser miał 2 kozły na rozkładzie i ja dwa kozły. Później pojechaliśmy na obiad do pałacu. Po obiedzie wyjechaliśmy z p. Friserem znowu do lasu i ponownie powtórzyła się ta sama historja: on dwa i ja dwa kozły. W ciągu więc kilku godzin mieliśmy we dwójkę na rozkładzie 8 wspaniałych kozłów, co lepsze tylko wybierając. Najlepiej to świadczy o obfitości zwierzyny i pieczy, jaką ona się cieszyła ze strony pełnomocnika p. Frisera, który był zamiłowanym hodowcą i doskonałym strzelcem, a ponadto przemiłym towarzyszem. W przeciwieństwie do niego był nadleśniczy w jednym z pobliskich wielkich majątków, notorycznym wrogiem sarniego pokolenia. Ten regularnie co czas pewien zjawiał się u nas w starostwie z prośbą o pozwolenie na odstrzał sarn, utrzymując i dowodząc nam, że sarn jest u niego zbyt wielka liczba w stosunku do kozłów i że wskutek tej dysproporcji płci kozy niezaspokojone cierpią na histerję, a jako histeryczki objadają pędy kultur sosnowych. Z tą teorją p. nadleśniczego mieliśmy obaj ze starostą wiele kłopotów, ale i wiele pociechy, bośmy go w końcu na ten temat naciągać zaczęli, mając tego za wiele.

Zimy bywały w czasie mojego w Cieszanowie pobytu piękne i śnieżne. Aż ciągnęło do kniei, aby podziwiać te okiście na drzewach szpilkowych, które z zejściem

słońca zdawały się brylantami ubrane, aż dusza rwała się z biura do lasu. Pewnego takiego pięknego dnia zimowego popołudniu woła mnie starosta do siebie i mówi: „Jutro się zabawimy, dostaliśmy właśnie zaproszenie na dziki do Łukawca. Ale proszą, by na noc przyjechać, bo jutro wcześnie rano zaczynają, a mamy kawał drogi, około 20 *km*. Niech więc pan wyda swemu furmanowi dyspozycje, za dwie godziny wyruszymy“. Uradowany wielce tą wieścią, punktualnie za dwie godziny zajechałem pod starostwo, a że sanna była doskonała a drogę znałem z wyjazdów na różne komisje, niebawem więc zajechaliśmy na folwark w Łukawcu, gdzie nam, kilkunastu strzelcom, oddano do dyspozycji cały dworek na przenocowanie przygotowany. Łukawiec należał do dóbr ks. biskupa przemyskiego, a gościnny gospodarz wydał widać dyspozycje, by nam na niczem nie zbywało, co pan administrator ściśle wykonał. W sali jadalnej zastaliśmy już prawie wszystkich zgromadzonych na jutro myśliwych. Kolacja była suta, kilka ćwiartek pilznera zaczopowanych, nie brakło dobrego winka z piwniczki ks. biskupa, wódy różnej stały flachy, a co najważniejsze, dowiedzieliśmy się, że dziki otropione i pewne. Towarzystwo po wieczerzy podzieliło się na grupki: jedni popijali, drudzy grali w karty, inni znowu rozmową głośną się zabawiali, a że niewiast żadnych nie było, swoboda była wielka i każdy robił co chciał. Między tymi gośćmi znalazły się jednak dwie „administracyjne pary“, które chciały ze względu na poważną jutrzejszą zabawę czas spędzić na sprawiedliwym odpoczynku, w objęciach Morfeusza. Jedną parę stanowili przybysze ze Lwowa: radca Namiestnictwa K. i starosta w jego departamencie zajęty, Kazimierz Grabowski (późniejszy wojewoda lwowski), druga para: ja z moim starostą. O ile Grabowski miłym był towarzyszem, o tyle radca, doskonały urzędnik, był towarzyszem dość cierpkim. W poszukiwaniu zacisznego kąta, w którym byśmy mogli spokojnie się przespać, znaleźliśmy odleglejszą od zgiełku komnatę, szczęśliwie tylko 4 łoża mieszczącą, jakby dla nas umyślnie przygotowaną i tę natychmiast okupowaliśmy. Z pedantycznym jednak radcą nie łatwa była sprawa. Zająwszy bowiem najlepsze łóżko, wziął nas trzech na egzamin, celem zbadania, czy podczas snu któryś z nas nie chrapie. Obaj starostowie egzamin zdali, bo jako żonaci powołać się mogli na świadectwo swych pań. Ja, jako bezżenny, sypiający zwykle tylko z moim „Iksem“, na jego świadectwo powołać się nie mogłem i ze strachem, co to w nocy będzie, do snu się ułożyłem. Około północy zbudziło nas trzech, to jest obu starostów i mnie, przeraźliwe chrapanie. Zwoławszy się po cichu, ze strachu przed radcą, jak kuropatwy w polu, radziliśmy, co zrobić. Rady jednak nie było i tak na leżącej rozmowie noc przepędziliśmy, podziwiając różne chrapliwe odgłosy naszego egzaminatora. Podczas polowania jednak, ileśmy się razy zeszli po miocie, nie dawałem za wygraną i ciągle wspominałem o tem radcy, że miał dobry sen, bo nie słyszał jak ktoś w naszej sypialni chrapał.

Dziki były, lecz przedarły się przez nagonkę. Jedna tylko potężna samura odbiła się i szła wprost na Grabowskiego. Stałem na sąsiedniem stanowisku i widziałem, że Grabowski strzelił, samura na niego szarżowała, przewróciła go w śnieg i znikła. Tak to się szybko stało, że ani ja, ani sąsiad Grabowskiego z drugiej strony, strzelać do niej nie mogliśmy, bo znikła nam w gęstem smerekowem podszyciu za linją. Przybiegliśmy do starosty, obawiając się, czy nie uszkodzony, ale na szczęście już się ze śniegu gramolił, bo tylko go potrąciła. Świnię dostaliśmy w trzecim miocie, bo farbowała nieźle, strzelona kulą z dryllinga poza komorą. Resztę polowania spędzono na strzelaniu do drobniejszej zwierzyny, poczem zadowoleni z ogólnego przebiegu polowania, a niezadowoleni z powodu, że nam się dziki wymknęły, po wspólnym obiedzie w naszej kwaterze i krótkiej pogawędce, opuściliśmy Łukawiec, składając na ręce administratora dla ks. biskupa wyrazy podziękowania.

Na bardzo piękne dwudniowe polowanie zaprosił nas do Horyńca młody książę Poniński Karlunio. Były i dziki, ale jak na złość wyszły na bardzo miłą i ładną pannę pułkownikównę, córkę właściciela sąsiedniego majątku. Panna podobno dobrze strzelała, ale po polowaniu z żalu płakała, bo jej ktoś patrony cienkim śrutem i śmieciem poprzerabiał. Dopiero w drugim dniu polowania, pięknego dzika położył pewien młody lekarz wojskowy ze Lwowa, nazwiska jego już nie pamiętam.

Niewdzięczną byłaby pamięć moja, gdybym na tem miejscu nie wspomniał o przemiłych corocznych polowaniach w dzień imienin śp. Tytusa Zarzyckiego w Chotylubie, polowaniach kniejowych, bardzo ładnych i dobrze prowadzonych, tudzież o polowaniach dwudniowych w Łówczy u posła Jampolskiego. Na tych ostatnich tak dobrze się bawiłem, że aż zgubiłem swoje serce.

W sezonie jesiennym, na ptactwo i zające polowaliśmy ze starostą w wydzierżawionych koło Cieszanowa gminach. Urzędowaliśmy od godz. 8 do 12, poczem starościna prosiła mnie na górę do stołu, obiad trwał kwadrans, furman mój już pod starostwem czekał i o 12,15 jechaliśmy już w teren. O czwartej popołudniu wracaliśmy do biur i urzędowali do 8, poczem siadaliśmy do kolacji. I tak dzień w dzień. Będąc codziennym gościem u mojego szefa, tak się z domem starostów zżyłem, że zastępowali mi rodziców, a ja im syna. I ten stosunek serdeczny, niczem nie zamącony, trwał do końca mego pobytu w Cieszanowie. Gdy później ślub brałem, oni byli moimi starostami ślubnymi.

W owych trzech przez nas dzierżawionych gminach polowanie było bardzo dobre, gminy miały rozległe tereny, dość piaszczyste, więc kuropatwom odpowiadające. W gminie Dachnów mieliśmy nawet kozły, które wychodziły z Sapieżyńskich lasów, ale na te starosta z kurtuazji polować nie chciał, aby książę nas o kłusownictwo nie podejrzywał. Na ptactwo błotne mieliśmy pozwolenie od marszałka Jana Gnoińskiego, a do majątku Doliny, własności wówczas bankiera Jonasa ze Lwowa, mieliśmy zaproszenie na toki cietrzewie. Ale starosta, chociaż lubił polowanie, na cietrzewie nie jeździł, bo dla starszego człowieka wstawać o 1-szej po północy, aby na 3-cią być w budce a następnie dzień cały w starostwie urzędować, było to zbyt kłopotliwe. Za to ja używałem na tych tokach, zwłaszcza podczas poboru wojskowego. Miałem bowiem bardzo miłego towarzysza w osobie porucznika, który wraz ze mną przy poborze wojskowym urzędował. Nazywał się Franz Kalina, był Czechem, ale nie szowinistą, zamiłowanym myśliwym, dobraliśmy się więc. Podczas całego poboru, który normalnie trwał kilka tygodni, ani jednej nocy nie darowaliśmy, zwłaszcza, że toki w Dolinach były śliczne, takie, jakich już później w całem mojem życiu nie oglądałem. Lasy w Dolinach były wyrąbane, same młode kultury sosnowe i świerkowe, naokół Dolin głębokie lasy sąsiednich majątków, tam więc na toki ze wszystkich stron cietrzewie ściągały. Gdy mowa o Dolinach, opiszę tu ciekawą propozycję, z jaką się spotkał ówczesny gr. kat. proboszcz w Żukowie, do którego parafji Doliny należały. W Dolinach był stacjonowany jeden szwadron huzarów austrjackich. Otóż raz przyjechawszy do nas do starostwa proboszcz z Żukowa opowiadał, że przed kilku dniami jawili się u niego podoficer i żołnierz, huzarzy z Dolin. Podoficer oświadczył, że przysłano go z prośbą, by proboszcz huzara wyspowiadał. Okrada on bowiem cały szwadron i żadne kary nie pomagają, może mu więc spowiedź św. pomoże i może się poprawi. Że zaś huzar umie tylko po węgiersku, przeto on, kapral, przysłany jest w tym celu, by księdzu grzechy huzara tłumaczył podczas spowiedzi. Proboszcz naturalnie na taką propozycję się nie zgodził.

W zimie r. 1904 przeniósł mię ówczesny namiestnik, śp. Andrzej hr. Potocki z Cieszanowa do Trembowli. Dostałem się zatem z okolic poważnych borów sosnowych, na piękne i wesołe Podole, z nędznej mieściny Cieszanowa do malowniczo położonej bardzo ładnej, historycznej Trembowli rozległego i rozbudowanego po obu brzegach rzeki Gniezny, u stóp ruin zamku Chrzanowskiej miasteczka. Trembowla miała stację kolejową i posiadała dwa garnizony, a to: jedną dywizję 2-go pułku czarnych dragonów austr. i batalion strzelców. Pod względem stosunków personalnych mało pozostawiała do



Trembowla. Na lewo budynek starostwa. Na tylnym planie zamek

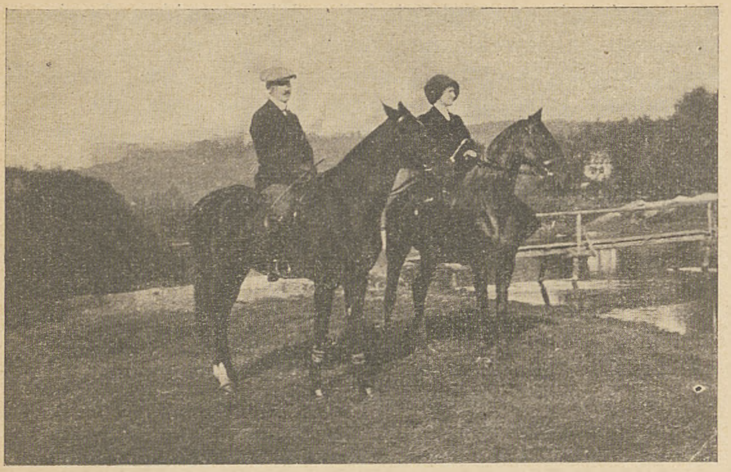
życzenia. Starosta był zdolnym urzędnikiem i mądrym człowiekiem. Był wymagający, ale zarazem wyrozumiały a ponadto w postępowaniu z podwładnymi szczery. Była to persona grata p. Namiestnika, jednem słowem przełożony, pod którym się chętnie służbę pełniło. Reszta zespołu urzędniczego starostwa, innych urzędów i korpus oficerski, stała również na wyższym poziomie. Był n. p. między innymi Stanisław Iglicki, insp. podatkowy później prezes Izby Skarbowej w Lublinie, który nam obchody patrjotyczne urządzał. Przy kawalerji zaś trembowelskiej było kilku o znanych arystokratycznych nazwiskach oficerów, jak hr. Paar, potomek właściciela pułku, hr. Wahlburg, kuzyn cesarza Franciszka Józefa i w. i. Plotki nie miały podatnego gruntu, bo oficerowie byli by im rychło kres położyli. Mieszkanie odpowiednie znalazłem łatwo, a trzy konie, które ze sobą z Cieszanowa przywiozłem (po ożence przybył koń czwarty, bo żona konno jeździła), zbliżyły mnie zaraz do wojska, a w dalszym ciągu przez zwiedzanie sąsiednich majątków do okolicznych ziemian. W rok niespełna po moim przybyciu do Trembowli miałem już pozwolenie na polowanie w całej okolicy na ptactwo, a później udało mi się wynająć polowanie w gminie Zazdrość, której grunta wchodziły w skład dawnego stepu Pantalichy. (O „Zazdrości“ wspomina w swoich Zapiskach ornitologicznych Kazimierz hr. Wodzicki, podając pochodzenie tej nazwy. W gminie tej mianowicie liczne były naloty bocianów, które się tam gnieździły. Ponieważ bocian ma przynosić szczęście, jeśli się zagnieździ, więc wieśniacy nawzajem sobie zazdrościli, gdy na którego chałupie zagnieździł się boćko). Stepy Pantalichy położone między miejscowościami: Złotniki, Podhajce, Bohatkowce, Strusów i i. bardzo to był oryginalny teren myśliwski. W czasie, który opisuję, nie były one już stepem w ścisłem słowa znaczeniu, były to pola po większej części uprawne, a tylko co wilgotniejsze połacie zajmowały łąki przeróżnem śliczenem kwieciem ubrane. Wśród tych pól i łąk największa atrakcja: jeziorka, w liczbie mnogiej, może co kilometr się powtarzające, trzciną zarosłe i w liczne odmiany ptactwa wodnego, zwłaszcza kaczek, obfitujące. Osad, t. j. wsi, właściwie na stepie nie było. Wsie znajdowały się na krańcach, jak zwykle na Podolu, w jarach, dla ochrony przed zimową wichurą pochowane. Na „step“ wywozili gospodarze tylko swoje pasieki i to na całe lato. Miesiącami więc całemi, zwłaszcza w okresie dojrzewania zbóż i po zbiorach zwierzyna miała zupełny spokój.



Okolice Trembowli. Pomiędzy Seretem a Strypą step Pantalicha

Orjentacja na stepie była bardzo trudna. Brak drzew, monotonna, daleko się ciągnąca równia, drogi wszystkie do siebie podobne, sprawiały, że orjentował się w położeniu jedynie tubylec. Skierowano mnie do Tomasza Moczulskiego, gospodarza z przysiółka Tyczyn ad Zazdrość. Miał on 30 morgów pola i 100 pni pasieki. Gospodarstwo zdał na synów, a sam dozorował pasieki i jeździł z myśliwymi po stepie. Ja byłem stałym jego gościem. Wyjeżdżałem zwykle z Trembowli w sobotę popołudniu. Piętnastokilometrowa droga prędko mijała, a potem jazda na zwiedzanie jezior w towarzystwie i pod przewodnictwem Moczulskiego. Krótkie letnie noce przesypialiśmy w polu pod stertami. Bezwzględny spokój, w którym ptactwo nie ciągnęło, trwał zaledwie dwie, a najwyżej 3 godziny. W razie niepogody i późną jesienią sypiałem u Moczulskiego w domu, bo miał on osobną izbę gościnną, a mnie tak lubiał, że chciał mi pewnego razu pożyczyć nawet swej szczoteczki do zębów, gdy własną zapomniałem. Wracałem do urzędu dopiero w poniedziałek na 9-tą rano. Część więc soboty i całą niedzielę było się na stepie. Brało się na taką wycieczkę sto naboi lub więcej i sznurek, na który jak paciorki nizało się upolowane ptactwo. Prócz kaczek, kszyków, bataljonów, kuropatw, przepiórek i chruścieli w wielkiej ilości, zastrzeliłem razu pewnego na stepie pięć wielkich kulonów stepowych (trzy na wieczornym, dwa na rannym ciągu). Dropi, o których powiadano, że dawniej bywały, już nie zastałem. Ale żórawi było dość. Raz wieczorem zjechaliśmy na cały obóz tych ptaków z rozstawionemi na noc, wysuniętemi wkoło strażami. Był to oryginalny, na tle pięknie zachodzącego słońca niezapomniany widok. Takiej ilości żórawi razem ani przedtem, ani później nigdy nie widziałem.

Później, gdy się ożeniłem i prowadziłem dom otwarty, gdy bywali zwłaszcza często oficerowie 2 p. dragonów, jeździliśmy na step w towarzystwie: ja z żoną i jakiś towarzysz. Jednym z takich był n. p. Stanisław ks. Sułkowski, bardzo miły oficer, ale słowa po polsku nie umiejący, jeździliśmy i z „cywilami“ zwłaszcza z kochanym przyjacielem moim Beniem Tertilem, sędzią.



Autor z małżonką. (W Trembowli 1910 r.)

Późną jesienią, gdy dzień był krótki i chciało się go wykorzystać, powrót ze stepu i pobyt na nim czasem był nieprzyjemny, bo wiatr szalony do szpiku kości przenikał. Wówczas, przed odjezdnem do Trembowli, częstował mnie Moczulski swoim wiśniakiem na miodzie robionym. Był to napój cudowny, poprostu czuło się, jak z żołądka na cały organizm promieniował i nawet do stóp docierał. Podczas jazdy powrotnej po podolskich prywatnych drogach sam powożąc, nim do Trembowli dojechałem, nieraz i dwa razy wywróciłem wózek, tak było ciemno. Mimowoli, gdy dzięki Panu Bogu nic się nie stało, przypominało się przysłowie, że nad warjatami, pijakami i dziećmi Pan Bóg czuwa. A nad myśliwymi i św. Hubert.

Wskutek tych częstych wycieczek na step i ciągłego strzelania, nabrałem niemałej wprawy. Raz wybrawszy się na step z Tertilem i Moczulskim i idąc w środku między nimi za kszykami, upolowałem na 13 strzałów 11 kszyków, a gdy później prezes Benio urządził popisowe strzelanie, dostałem dyplom „mistrza“ na powiat trembowelski.

Jedno jezioro większe na stepie, otoczone łąkami, nazywano „komisarką“, bo jak fama głosiła, tam wypasały się konie króla Jana III, a dozorował stadniny osobny „komisarz“, który tam mieszkał.

Wspomniałem powyżej, że bez przewodnika trudno było na stepie polować, bo orjentacja w drogach była trudna. Ale nietylko dlatego samego. Niektóre wielce obiecujące na oko jeziorka były stale puste, inne znowu roiły się od kaczek. Te znał z doświadczenia Moczulski i to z doświadczenia niezawodnego. Przejeżdżając bowiem koło obiecujących, gdy Moczulski oświadczył, że na nich kaczek niema, kilkakrotnie sprawdziłem, że tak jest w istocie. Przytem niektóre kaczusie trudno było z trzciny i traw wypędzić. Moczulski miał doskonałą Gordon - setterkę, którą później od niego kupiłem. Ta w jezioro na polecenie szła z wielkim zapałem i aportowała wyśmienicie. Otóż niektóre kaczki wylatywały po dłuższem buszowaniu psa w jeziorze, ale były i takie, które przed psem na piechotę z jeziora się wykradały, aby się ukryć w trawach i zbożach wodę okalających. Bardzo to były zabawne takie uciekinierki na piechotę. Sprytnie na kaczki polował nadleśniczy lasów miejskich trembowelskich, bo kazał sobie sporządzić lekkie i zgrabne czółenko i na polowanie na step jechał w dwa pojazdy. Na wózku jednym on z psami, na drugim jego chłopak z czółenkiem. Ale ten system nadleśniczego miał i ujemne strony: chcąc kilka jezior w ciągu dnia opolować, musiał kilkakrotnie łódkę wyładowywać i załadowywać na wózek, co było dość ambarasowne.

Jesienią, w czasie polowań na zające, których na stepie było sporo, tak że z każdej na step wycieczki kilka ich wiozłem do domu, polowanie było jeszcze zabawniejsze. Często, gdy się strzeliło do kaczek, z komyszy jezioro otaczających szarak z pod nóg wyrywał, bo tam po żniwach, gdy pola ogołociały, na pobyt się przenosił. Lub też strzelało się koło jeziorka zajączka, a tu kaczki zrywają, więc ze strzałami trzeba się było spieszyć. Ogółem wziąwszy, step to był świat odmienny. Zdala od miast i osiedli ludzkich, miewał między pastuszkami zwłaszcza typy, które z cywilizacją nie miały nigdy styczności. Trafiały się okazy matołków, nigdzie nie widywanych, które zdaje się kościoła i szkoły w całem swojem życiu nie oglądały, dla których step był wszystkiem.

Pozwolenie na polowanie na kozły miałem w majątku Podhajczyki Justynowe, od właściciela, Leopolda hr. Bolesty Koziebrodzkiego, ambasadora w Rio de Janeiro. Podhajczyki Justynowe, śliczny i rozległy majątek nad Seretem położony, oddalony od Trembowli o 9 *km*, miał wieś czysto polską z ludnością równą co do liczby całemu Cieszanowowi. W skład majątku tego wchodziły piękne podolskie łany, kilkusetmorgowy kompleks leśny i malownicze ścianki leśne nad Seretem. Zwierzostan był bardzo ładny, normalnie na rozkładzie po jednodniowem polowaniu w lesie było około 100 zajęcy prócz innej zwierzyny. W ściankach nad Seretem upolowaliśmy pewnej późnej jesieni w jednym dniu w kilka strzelb 17 lisów. Ponieważ pan ambasador wówczas w Podhajczykach tylko urlop swój w lecie przepędzał, zawiadywała majątkiem siostra jego, panna Justyna, przezacna osoba, która całe życie swe, wyrzekając się szczęścia własnego rodzinnego, poświęciła ojcowiźnie i obu braciom, Leopoldowi i Józefowi, mając pieczę nad ich majątkami, Podhajczykami i Semenowem w czasie nieobecności braci. Na kozły polowałem tam w ściankach, a ciesząc się sympatją pp. Koziebrodzkich, mogłem sobie zatrzymywać piękne rożki sarnie, których kilka par po dziś dzień zdobi ściany mojego domu. Brat ambasadora, Józef, rotmistrz w st. sp., posiadał Semenów. Był to gentleman, jak mówiono za czasów austrjackich, „*vom Scheitel bis zur Ferse*“, a ponadto sportsmen nad sportsmenami. Nietylko bowiem miał własną piękną hodowlę koni pełnej krwi angielskiej, ale sam osobiście konie te ujeżdżał, trenował i sam na wyścigach w różnych mistrzostwach Austrji brał za nie nagrody. Gabinet jego w Semenowie pełny był trofeów z wyścigów. I w Semenowie miałem pozwolenie na polowanie na wszelką zwierzynę, a było mi to bardzo na rękę, bo lasy Semenowa tuż za Trembowlą się zaczynały. Ponieważ jednak Józef hr. Koziebrodzki polował często konno z psami sam na swoich łanach na zajączki, niechcąc mu robić w zajączkach konkurencji, aby jego dobroci nie nadużywać, ograniczałem się na jego polach do polowania tylko na ptaszki.

Piękne polowania kniejowe odbywały się w Młyniskach u hr. Borkowskiej, a najładniejsze w powiecie były bezwzględnie w Budzanowskich lasach u śp. Jerzego hr. Baworowskiego, tego posła Trembowelskiej Ziemi tak lubianego i poważanego, że przy wyborach mieliśmy z nim kłopot, bo otrzymał więcej głosów, aniżeli do wybrania posłem potrzebował, podczas gdy kandydatowi ukraińskiemu głosów brakowało. Aby więc wybór obu kandydatów utrzymać, musieliśmy Baworowskiemu głosów ująć i dodać je Ukraińcowi. Budzanów miał lasów około 4.000 morgów. Wpośród kniei bardzo ładny pałacyk myśliwski, w zakopańskim stylu. Był tam bardzo dobry nadleśniczy p. Wasyleńko, zamiłowany hodowca zwierzyny. Na dwudniowe polowanie zaproszony, podziwiałem tę cudowną knieję, łączącą w sobie bardzo ładne polowanie na grubą zwierzynę, t. j. dziki, z ogromną obfitością zwierzyny drobnej, t. j. zajęcy.

Terenów myśliwskich i sposobności do polowań przybyło z chwilą, gdy kochany sędzia Tertil, myśliwy i doskonały organizator, założył w Trembowli towarzy-



Z polowania Tow. Łowieckiego w Trembowli w r. 1911. Siedzą licząc od słupka III: Pani Balko, za nią: starosta Rudnicki, major Lengauer, sędzia Tertil (prezes Tow. Łowieckiego w Trembowli) i autor wspomnień

stwo myśliwskie i gdy mu się udało dla Towarzystwa tego wynająć polowanie w lasach miejskich Trembowli, obszaru około 2000 morgów. Odbywały się tam zwykle dwa polowania z nagonką w sezonie, prócz tego każdy z członków Towarzystwa miał pozwolenie na odstrzał 1 kozła w lecie kulą i pozwolenie polowania na słonki na ciągach. W lesie miejskim trembowelskim dnia 10 lipca 1911 r. zastrzeliłem kozła o rożkach z czterema odnogami. Ciągi słonek w Trembowli były bardzo piękne. Prócz tych polowań brałem również udział w polowaniach z chartami konno. Rotmistrz w st. sp. Baborski dzierżawił od rz. kat. proboszcza w Trembowli folwark Plebanówkę około 1000 morgów obszaru łanów podolskich. Prócz tego dzierżawił polowania w sąsiednich gminach, tak, że teren do polowań z chartami posiadał spory. Miał wcale dobre dwa charty i na polowania z niemi zapraszał tych, którzy mieli własne konie wierzchowe, a więc oficerów 2 p. dragonów i mnie.

Mój czternastodniowy urlop coroczny przepędzałem na Bukowinie w majątku teściów moich, Wasłowce. I tam na polowaniach używałem. Las miał położenie górzyste, glebę bogatą, kozły więc miały bardzo piękne parostki. Prócz polowań kniejowych były w Wasłowcach również polowania na ptactwo wodne i na ptactwo w polu. Jednego roku trafiłem tam na ciąg przepiórek i upolowałem ich w kilku dniach rekordową ilość, bo 123 sztuk,



Rotmistrz Kumar w swoim ekwipażu, zaprzągniętym w capy na przejażdżce z córeczkami autora wspomnień (r. 1911)

czyli przeszło 2 kopy. Miłe pod każdym względem czasy trembowelskie: konne wycieczki do Łaskowiec do pp. Gromnickich i i. zakłócały nam urzędnikom politycznym a zwłaszcza mnie, nadprogramowe czynności urzędowe. Lata 1905—1908 były okresem wzmożonej agitacji ukraińskiej w tych stronach. Przed często powtarzającemi się wyborami odbywały się każdej niedzieli wiece agitacyjne we wsiach od Trembowli po kilkanaście km odległych, na które starosta nas delegował jako reprezentantów rządu, dla przestrzegania porządku i prawomówności. Wiece odbywały się normalnie między godzinami 1 a 3 popołudniu, dojazd tam i z powrotem zajmował kilka godzin, cała więc niedziela była stracona. Czasem i w nocy wypadało gdzieś na nielegalny wiec się wybrać. W r. 1906 na wizytację starostwa w Trembowli wybrał się osobiście namiestnik Andrzej hr. Potocki. Miałem tę satysfakcję z posiadania koni, że moim powozem ś. p. namiestnik ze stacji kolejowej do starostwa przyjechał i moje konie obwoziły go po urzędach w mieście. Któż mógł wówczas przypuścić, że ten wielki zamiłowany myśliwy, który razu pewnego z łowów wracając, z upolowanym przez siebie niedźwiedziem w aucie zajechał pod Namiestnictwo, ten pan z panów, kochany i najwyższy nasz kolega - urzędnik, który tak energicznie i sprawnie administrował byłą Galicją, że ten człowiek dobry i szlachetny w dwa lata później pełen życia i w sile wieku jak żołnierz na posterunku zginie tragiczną śmiercią. Po jego żałosnym zgonie i przeniesieniu naszego starosty na większe starostwo do Przemyśla, nastąpiły zarówno w Namiestnictwie, jak i w starostwie trembowelskiem zmiany, których tutaj opisywać nie będę, bo one z łowiectwem nie miały nic wspólnego.

W zimie r. 1911 już jako człowiek wolny, uzyskawszy po długich staraniach kilkuletni bezpłatny urlop zdrowotny „aż do odwołania“, przeniosłem się po 7-letnim pobycie w Trembowli do Lwowa. Konie wyjazdowe sprzedałem, a wierzchowe umieściłem w Sokole lwowskim i żeby nie wyjść z wprawy w łowiectwie, wynająłem w Łówczy powiatu Cieszanowskiego polowanie gminne, szwagier mój odstąpił mi swoje polowanie na obszarze lwowskim, z czego powstał bardzo ładny rewir myśliwski, bo około $2^1/_2$ tys. morgów lasów i tyleż pól. Miałem w Łówczy polowanie na dziki, kozły, lisy, zające i kuropatwy. Prócz tego przystąpiłem w r. 1912 do spółki myśliwskiej „Krakowiec“, której prezesem był dr. Röhr, a miłymi towarzyszami: dr Michał Grek, znany wówczas mecenas lwowski, rotmistrz Roman Augustynowicz, Zdzisio Dzikowski, o którego ojcu pisał w swoim czasie redaktor Milski w „Śmigusie“ w sylwetkach o radcach miejskich: „prochu nie wynalazł, lecz ma go na składzie, występuje w kontuszu na każdej paradzie“, i inni towarzysze z pod znaku św. Huberta, a z zawodu „nafciarze“, bo sam dr Röhr był ich doradcą prawnym. Polowanie w „Krakowcu“ dzięki staraniom i energji prezesa spółki, było w bardzo pięknym stanie. Była tam ogromna rozmaitość zwierzyny, bo prócz polowania na ptactwo wodne na stawie, mieliśmy w lasach: dziki, sarny, lisy, zające, cietrzewie, a po polach: bażanty i kuropatwy. Miałem w Krakowcu szczęśliwe spotkania: 12 stycznia 1912 r. zastrzeliłem na polowaniu gremjalnem bardzo pięknego odyńca, który odbił się od mojego sąsiada, jakiegoś zamorskiego nafciarza, Anglika, jak szalony wypadł na mnie i strzelony kulą padł tuż za linją. W r. 1913 na jednem stanowisku strzeliłem dwa kozły, jednego śrutem, drugiego kulą z dryllinga. Razu pewnego, gdyśmy na polach Krakowca w kotły polowali, dostała się w ręce nasze arcyciekawa zdobycz, bo kłusownik ze strzelbą. Osaczony, nie chąc się dać rozbroić, położył się na plecach w śniegu i strzelbą z odwiedzionymi kurkami oganiał. Straż nasza łowiecka miała z nim dość kłopotu, nim strzelbę odebrała. Potem posypały się razy!



Namiestnik
Śp. Andrzej hr. Potocki

Epilogiem była skarga sądowa o ciężkie pobicie. Sąd skargę oddalił, bo kłusownik ze strzelbą w ręku na obcem terytorjum został złapany i groził strzałami zaprzysiężonej straży leśnej, a nawet nie był w możności dokładnie oznaczyć, kto go właściwie biczował, bo wiele osób, dla ogólnego dobra chciało go „poprawić“. W Łówczy polowanie musiałem dopiero „regulować, bo szwagier mój, ś. p. Kazimierz, myśliwym nie był, a miał dobre serce, „różni“ więc go na punkcie myślistwa wykorzystywali. Pamiętam, raz na polowanie zaprosiłem na życzenie szwagra jakichś „funkcjonarjuszy“. Padają strzały ale nic nie wynoszą. Więc ja do mojej straży łowieckiej z zapytaniem, co to znaczy. A oni meldują: ten pan zabił sarnę i ten także i zagrzebali w śniegu opodal swych stanowisk. Ja więc do „funkcjonarjuszy“ po miocie robię „perskie oko“ z przemową: „Wiem kto siuty pobił. Po polowaniu doniosę o nieboszczkach do starostwa, by sprawcy na pogrzeb pieniążki złożyli“. To poskutkowało, bo w następnym miocie już ich nie było i już w przyszłości szwagra mojego o zaproszenie na polowanie nie molestowali. Stan sarn poprawiał się z roku na rok. Miałem doskonałego strażnika, który wogóle z kniei nie wychodził, a często w niej nawet nocował. Prócz tego leśni wszyscy mieli ode mnie sute dodatki do swej pensji za pilnowanie zwierzyny. W zimie rozwoziłem osobiście koniczynę i przekonałem się, jak właściwie mało paszy do intenzywnego karmienie sarn potrzeba. W lecie strzelałem kozły z Schönauera Cal. 6,7 z lunetą od Tabaczkowskiego i wybierałem tylko starsze i kaleki. Razu pewnego zdobyłem kozła z bardzo oryginalnemi rożkami. Jeden róg mianowicie był zupełnie ku dołowi zakrzywiony. Pokazało się, że wskutek lotki, którą w głowę między rogi otrzymał.

Wszystko to przerwała wojna. Piękna kolekcja zbiorów z Łówczy, kilka bardzo dobrych strzelb, przepadło podczas inwazji. Strażnik mój poszedł zaraz w jesieni 1914 r. w szeregi, Moskale wtargnęli do Łówczy, pobudowali w lasach ziemianki i wyniszczyli zwierzostan. Gdy w zimie r. 1915 po ich odejściu przyjechałem do Łówczy, przedstawiała ona obraz smutku i rozpaczy. Pięknie zagospodarowany majątek był kompletnie zniszczony. Budynki wszystkie wraz z dworem spalone. Komin gorzelni wysadzony dynamitem, z licznych inwentarzy ani śladu. Szwagier mój nie chciał przed inwazją z majątku wyjechać, w nadziei, że go od zniszczenia obecnością swą uratuje. Moskale zamknęli go w lodowni, głodem morzyli, śmiercią ustawicznie grożąc. Więc schorzały, gdy się wyrwał z ich rąk, zatrzymał się aż we Wiedniu i nie chciał więcej do ruin wracać. Jak mi służba opowiadała, przyczyną tego pastwienia się nad nim i majątkiem, było zastrzelenie dowódcy oddziału do Łówczy w r. 1914 wkraczającego, przez jakiegoś żołnierza austrjackiego, tuż u wjazdu na folwark.

Zwierzostan sarni zastałem zniszczony, zato dziki i lisy rozmnożyły się ogromnie. Całe pola, zwłaszcza ziemniaczyska na wiosnę r. 1916 wyglądały jak świeżo zorane. Pretensje włościan o wynagrodzenie szkód przez dziki zrządzonych, były wielkie, toteż starostwo na tępienie dzików nalegało. To mnie w Łówczy zatrzymało. Przez cały rok 1916 na dziki polowałem, z niezłym wynikiem jak na te partyzanckie łowy, które urządzałem. Ponieważ o myśliwych było trudno, urządzałem małe wyprawy. Ja i dwóch leśnych stanowiliśmy grono myśliwych, a nagonka składała się z 8—10 chłopców. Brało się ostoje dzicze, co trwało kilka godzin i na tem koniec. Były i wyszły na strzelca, dobrze, a jeśli ich nie było, lub gdy się wymknęły, to za tydzień powtarzało się to samo. Tak polując zastrzeliliśmy w ciągu roku 10 dzików. Razu pewnego jesienią 1916 r. wyszły na mnie dwie piękne samury z młodemi. Stałem za młodym świerkiem, a że świnie waliły wprost na mnie na sztych, przypuściłem je na jakie 30 x i do pierwszej większej sztuki strzeliłem, mierząc w głowę. Ta padła w ogniu, strzeliłem więc do drugiej na poleć, gdy mię mijała. Zdawało mi się, że ta druga również „zaznaczyła“, poszedłem więc w ślad jej za linją. Ale na czarnej stopie nie szło to sprawnie, zwłaszcza, że miało się już ku wieczorowi. Wracam więc do pierwszej sztuki, i o dziwo, na miejscu strzału jej nie znalazłem. Za linją rozległo się wołanie gajowych. Zastałem tam ciekawą sytuację: Świnię siedzącą na zadzie i kłapiącą paszczęką, a wokół niej w przyzwoitej odległości leśnych i nagonkę. Ja do świni, a ta zauważywszy mnie, wstała i do mnie. Ze łba farba się leje, świnia szczęka zębami. Przypuściłem ją na 10 x, strzelam i widocznie chybiłem, bo świnia dalej ku mnie zmierza. Dopiero drugim strzałem dobiłem biedaczkę, ale to już w bezpośredniej od moich nóg odległości. Strzelałem z podwójnego sztućca Hammerless wyrobu Peterlongo, patronami Kropatschek Heisig, prochem czarnym, kulą Cal. 11 *mm*. Chłopi przypatrujący się temu orzekli, żem się wobec świni zachował jak ów „Graf Richard von der Normandie“, co to „erschrack in seinem Leben nie“. Razu pewnego zrobiłem we Wiedniu furorę, zajechawszy do mieszkania żony z tęgimi dwoma wycinkami przeze mnie zastrzelonemi. Wyskubali im co prawda przez drogę szerść oglądacze, ale i tak poważnie się przedstawiały.

Ostatnie gremjalne polowanie kniejowe w Łówczy urządziłem przed jej sprzedażą w zimie 1916 r. Prócz innych zaproszonych gości przybyli nań sławny nasz dzikarz Józef ks. Jabłonowski i starosta lubaczowski Ciszek. Jak wiadomo Jabłonowski jest zawsze tam pewny, gdzie dziki są pewne, a niepewny, gdzie dziki są niepewne. Dlatego liczyłem na niego. I popełnił swoje

„veni vidi vici“, jak zwykle, strzelając dzika, który na niego wyszedł. Starosta zaś zakaszlał, wobec czego dzik, który szedł na niego, obrażony takiem zachowaniem myśliwego, zawrócił.

Na lisy polowałem w Łówczy zasiadką do księżyca w zimie, na powojennem grobowisku końskiem, do którego lisy ciągnęły całemi procesjami. Było na co patrzeć, jak w teatrze, a i sposobności do skutecznych strzałów nie brakło, czego dowodem lisiura, która po dziś dzień grzeje moje plecy. Rok 1916 w Łówczy z temi dzikami i lisami, to najbogatsze obok Pantalichy, chociaż odmienne, moje wspomnienia myśliwskie, któremi chciałem się z Szanownymi Czytelnikami „Łowca“ podzielić. Na wstępie niniejszych opowiadań, przypomniałem organizację władz politycznych w b. Austrji, ponieważ w odrodzonej naszej Ojczyźnie ta sprawa inaczej się przedstawia. Autentyczne, małomiasteczkowe i niepozbawione stron humorystycznych stosunki cieszanowskie opisałem dla ich oryginalności i charakterystyki.

Latoszyn, 12 lutego 1939.

B R O Ń I A M U N I C J A

ROMAN ĆWIERZEWICZ
ZABŁOTÓW

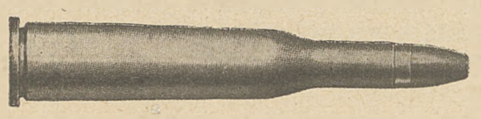
O NOWOŚCIACH W DZIALE AMUNICJI KULOWEJ

Znana w całym świecie niemiecka fabryka amunicji Rheinisch Westfalische Sprengstoff Actien Gesellschaft (R. W. S.) w Norymberdze wyprodukowała i puściła w obieg w b. r. 4 nowe naboje kulowe, z których 3 wykazują zalety balistyczne niespotykane dotychczas u żadnych innych nabojów czyto na naszym kontynencie, czy też w Ameryce.

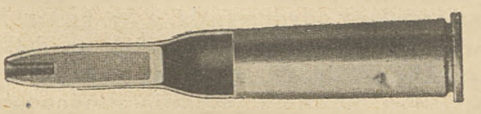
Pozostając od wielu lat w dobrych stosunkach z wymienioną fabryką, otrzymałem stamtąd wszelkie dane konstrukcyjne i balistyczne dotyczące tych nabojów, celem więc dzisiejszej mej korespondencji jest zamiar podzielenia się niemi z Czytelnikami „Łowca“.

Zacznę od naboju, przeznaczonego wyłącznie do strzelania rogaczy i drobniejszej zwierzyny.

Nabój **5·6 × 52 R** z płaszczem **D**
Nr. fabrykacji 147



Konstrukcję tego naboju oparto zasadniczo na formie znanego powszechnie naboja amerykańskiego 22 H. P. Savage. Ponieważ nabój ten znalazł w Niemczech, w Austrji a także i w Polsce wielu zwolenników, dlatego fabryka R. W. S. objęła go programem swojej fabrykacji i wypuściła na rynek w ulepszonej znacznie jakości. Ulepszenie polega na zastosowaniu specjalnego prochu i pocisku *D*. Co jest pocisk *D*, to zainteresowani znajdą w „Łowcu“ Nr. 15—16 z 1 sierpnia 1938, w doskonałym i przejrzystym artykule p. Stefana Ć w i e r z e w i c z a ze Lwowa. Nie od rzeczy jednakowoż będzie pocisk ten raz jeszcze pokrótce scharakteryzować. Posiada on podwójny płaszcz. Pierwszy płaszcz zrobiony jest z cienkościennej miedzi w celu ułatwienia rozprysku czyli ekspanzji w ciele zwierzęcia, a drugi wierzchni, którego zadaniem jest prowadzić pocisk przez gwinty, jest ze stali. Jest on krótszy od pierwszego płaszcza, tak długi, jak tego wymaga prowadzenie przez gwinty.



Opisana powyżej konstrukcja pocisku daje następujące korzyści :

a) bardzo dokładne prowadzenie przez lufę, co powoduje wyjątkową precyzję strzału,

b) doskonałą ekspanzję (rozprysk) w ciele zwierzyny,

c) dzięki wierzchniemu stalowemu płaszczowi należytą penetrację w głąb i to pomimo trafienia na kości,

d) zewnętrzny płaszcz stalowy pokryty cieńką warstwą niklu, mimo wielkiej chyżości pocisku nie powoduje prawie zanieczyszczenia wnętrza lufy niklem, która to okoliczność jest bardzo ważna ze względu na konserwację lufy o tak małym kalibrze.

Ładunek prochu wynosi w nowym naboju 5,6×52 R 1,75 *g*, waga pocisku 4,65 *g*. Chyżość początkowa $V_0 = 881$ *m/s*, początkowa energja $E_0 = 184$ *mkg*. A ciśnienie gazów 2900 atmosfer wobec ciśnienia obserwowanego przy innych nowoczesnych nabojach kulowych, dochodzącego do 4000 atmosfer, musi być uważane za stosunkowo nieznaczne. Ładunek prochu specjalnego spala się zupełnie w lufie długości 60 *cm*. Ponieważ po 150 metrach chyżość i energja pocisku wykazują znaczne zmniejszenie, przeto nie należy strzelać do zwierzyny dalej jak na 150 metrów, ponieważ skutek strzału byłby wątpliwy. Osobiste moje przekonanie jest, że wpraktyce na 150 metrów = 220 kroków do rogacza prawie się nie strzela.

Poniżej podaję tabelę balistyczną opisanego naboju :

Laborierungs-Nr.	Patrone	Ladung in g Pulversorte	Geschoß			Lauflänge mm	Fluggeschwindigkeit in m/s						Auftreffenergie in mkg						Gasdruck at
			Art	Länge mm	Gewicht g		V_0	V_{25}	V_{100}	V_{150}	V_{200}	V_{300}	E_0	E_{25}	E_{100}	E_{150}	E_{200}	E_{300}	
147	5,6×52 R	1,75 Sp.P.	D-Mantel	21	4,65	600	881	840	730	665	606	505	184	167	126	105	87	60	2900

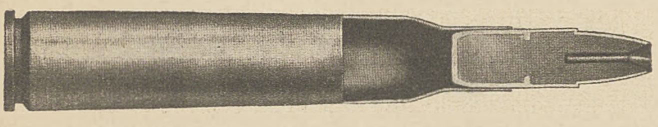
* * *

Drugim nabojem przeznaczonym do strzelania kozic i rogaczy na możliwie najdalsze myśliwskie odległości — powiedzmy do 300 kroków —jest nabój

6,5×68



Jestto nabój bez kryzy z wtokiem, przeznaczony wyłącznie do użycia w sztucerach z zamknięciem Mausera i to wzmocnionem S_2 Mauser Magnum. Wchodzi w ten nabój 4,55 *g* specjalnego prochu i kulka w stalowej koszulce, z małym ołowianym końcem, ważąca 6 *g*. Pocisk ten jest identyczny z użytym w naboju 6,5×57 R i 6,5×57 L fabrykatu 112—113. Proch użyty do wymienionego naboju jest prochem wolno spalającym się, to znaczy progresywnym. Do wyzyskania zalet balistycznych naboju i całkowitego spalenia się prochu w lufie lufa musi mieć 70 *cm* długości. Chyżość pocisku wynosi w tym wypadku $V_0 = 1200$ *m/s*, energja $E_0 = 440$ *mkg*. a ciśnienie gazów 3700 atmosfer. Ciśnienie 3700 atmosfer robi pozornie wrażenie bardzo wysokiego. Jeżeli jednakowoż weźmie się pod uwagę, że nowoczesne szybkobieżne naboje wywołują niejednokrotnie ciśnienia do 4000 atm. i wyższe, to ciśnienie 3700 atm. musi się uznać za stosunkowo niewysokie, a raczej za normalne. Karabin mauserowski z lufą 70 *cm* jest dla celów myśliwskich niewygodny, dlatego można użyć lufy 62—65 *cm*-wej; strata chyżości wyniesie w tym wypadku około 35 *m/sec*, co w praktyce nie stanowi wielkiej różnicy. Zaznaczyć jednakowoż wypada, że przy zastosowaniu lufy 62 *cm* długości część prochu spala się przy wylocie z lufy, wskutek czego powstaje znaczny płomień i silna detonacja.

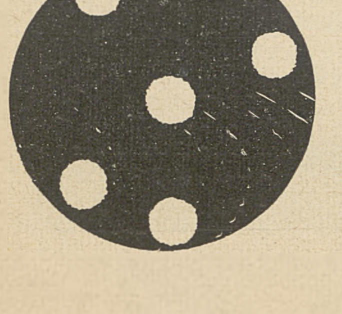


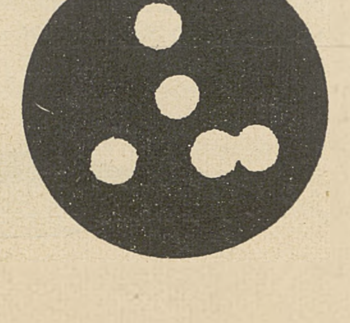
Ten sam nabój z ładunkiem prochu 4,45 *g* Rottweiler 1 i pociskiem ekspanzywnym w stalowym płaszczu, długości 26,8 *mm* o wadze 8 *g*, jest przeznaczony do strzelania grubej zwierzyny, jak jeleń, dzik, niedźwiedź. Ładunek prochu Rottw. Nr. 1 spala się zupełnie w lufie długości 65 *cm*. Chyżość początkowa pocisku wynosi $V_0 = 1050$ *m/s* a energja 450 *mkg*. Ciśnienie gazów 3700 atm.

Balistyczne daty wymienionego naboju w każdem wydaniu osobno są następujące:

Laborierungs-Nr.	Patrone	Ladung in g Pulversorte	Geschoß- Art	Länge mm	Gewicht g	Lauflänge mm	Fluggeschwindigkeit in m/s V_0	V_{25}	V_{100}	V_{150}	V_{200}	V_{300}	Auftreffenergie in mkg E_0	E_{25}	E_{100}	E_{150}	E_{200}	E_{300}	Gasdruck at
136	6,5×68	4,55 Spez. Pulver	Teilm. S Bleisp.	22,0	6,0	700	1200	1155	1033	962	897	784	440	408	326	282	245	188	3700
137	6,5×68	4,45 Rl	Hohl-spitz-Gesch.	26,8	8,0	700	1050	1010	900	834	773	666	450	416	330	284	244	181	3700

Jasną jest rzeczą, że oba wymienione naboje wykazują doskonałą precyzję strzału, jak to zresztą widać na załączonych tarczach. Te wyniki strzałów uzyskano na 150 metrów.





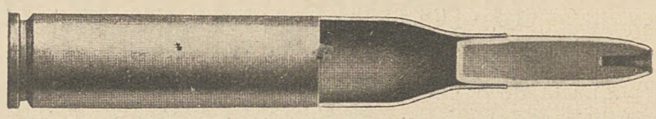
Fabryka po wielu uciążliwych próbach, ustaliła zasady co do wiercenia gniazda nabojowego lufy, przejścia z gniazda do lufy, dymensji samej lufy, kalibru, rodzaju gwintów etc., które aby uzyskać, podane daty balistyczne muszą być jaknajściślej dotrzymane, a dopiero wtedy broń staje się pełnowartościową. Fabrykantom broni, którzy zamierzają fabrykować broń do wymienionych naboi R. W. S. udziela się na żądanie potrzebnych wskazówek.

Zaznaczyć wypada, że żadna broń gotowa zbudowana do jakichkolwiek naboi w kalibrze 6,5 *mm* nie nadaje się do przerobienia na naboje 6,5×68. Broń do tych naboi musi być specjalnie zbudowana.

* * *

Asem wśród czterech nowych naboi jest nabój:

8×68 S



Jestto właściwie pierwszy w świecie nabój w kalibrze 8 mm o prawdziwie wielkiej chyżości. Daty konstrukcyjne są następujące:

Ładunek prochu specjalnego wynosi 4,75 *g*. Pocisk w płaszczu H ten sam, którym ładowane są naboje 8×60 Magnum waży 12,1 *g*. Pocisk ten wyrabiany jest obecnie w 3 rodzajach, a to z krytą zapomocą szpiczastej czapki miedzianej ekspanzą, z małym ołowianym końcem i jako nowość ten sam pocisk z otwartą ekspanzą. Największe wartości balistyczne daje pierwszy rodzaj pocisku, ponieważ ostro wydłużony koniec najłatwiej pokonuje opór powietrza.

I tak chyżość początkowa wynosi $V_0 = 1000$ *m/s*, energja początkowa 617 *mkg*, ciśnienie gazów 3700 atm. Bliższe balistyczne daty poniżej.

Laborierungs-Nr.	Patrone	Ladung in g Pulversorte	Geschoß- Art	Länge mm	Gewicht g	Lauflänge mm	Fluggeschwindigkeit in m/s V_0	V_{25}	V_{100}	V_{150}	V_{200}	V_{300}	Auftreffenergie in mkg E_0	E_{25}	E_{100}	E_{150}	E_{200}	E_{800}	Gasdruck at
148	8×68 S	4,75 Spez. Pulv.	H-Mant. Ku.-Sp.	33,5	12,1	700	1000	970	888	840	797	721	617	580	486	435	392	320	3700
148	8×68 S	4,75 Spez. Pulv.	H-Mant. Bleisp. H-Mant. offene Hohlsp.	29 27,5	12,1	700	1000	960	856	795	740	644	617	568	452	390	338	256	3700

Otóż nowy ten nabój daje znacznie wyższe wartości balistyczne, niż najsilniejszy nabój w kal. 9,3, a prawie równe, jak nabój Hollanda na gruboskórce w kalibrze 465 = 12 *mm* z kulą w niklowym płaszczu o wadze 32 *g*.

Z powyższych danych wynika, że nabój ten może być użyty z najlepszym skutkiem przez myśliwych w Karpatach, jak również w okolicach podzwrotnikowych na najgrubsze antylopy, drapieżniki a w końcu i w wysokich górach, gdzie dalekie strzały, jak na 200—300 metrów są prawie regułą. Karabin do naboi 8×68 S z systemem Mausera Magnum, solidnie zbudowany nie wymaga dłuższej lufy jak 65 *cm*, gdyż proch specjalny użyty do tego naboju spala się zupełnie w lufie tej długości. Broń do powyższego naboju musi być specjalnie zbudowana, gdyż przerabianie broni gotowej w kalibrze 8 mm na nowy nabój jest niemożliwe.

OCHRONA I HODOWLA

MICHAŁ SZCZEPAŃSKI
INOWROCŁAW

KACZEK CORAZ MNIEJ!

Taki alarm podnoszą stale myśliwi. Trzeba więc znaleźć powody i szukać winnych. Szuka się i przypomina sobie notatki z gazet, że którejś tam wiosny na Polesiu zagraniczni myśliwi zastrzelili przy krykuchach coś ponad pięćset kaczorów, innej znowu jesieni w trzy strzelby na jednym sadzie ubito paręset kaczek. Łączy się takie fakty z jednego okresu, z jednego terenu, wysuwa się domysły, że każdy myśliwy na Polesiu musi sobie podczas roku łupnąć paręset kaczek, — nic więc dziwnego, że kaczek niema.

A więc są winowajcy: myśliwi na Polesiu! Zakazać polowania z krykuchami i na sadach! Krótko, węzłowato, ale niesprawiedliwie.

Znając dość dobrze stosunki łowieckie na Polesiu, zabieram w tej sprawie głos.

Owszem, z krykuchą na wiosnę można zabić dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści kaczorów podczas jednego wyjazdu, ale musi „poszancować" t. zn. muszą się ułożyć dogodne warunki jak na każdem polowaniu, a więc trzeba trafić na dobry okres, dobrą pogodę, posiadać dobrą krykuchę, dobry teren i tego terenu trzeba opolować dobrych parę, albo i kilkanaście kilometrów kwadratowych.

Nie zaprzeczam, że o wczesnym ranku, pewien procent kaczorów posiadających już p a r ę, ale w danej chwili wolnych, gdyż kaczka znosi jajo, może dać się skusić wabowi krykuchy i zginąć. Przeważnie jednak na takiem polowaniu giną kaczory w o l n e, bez pary. O wybiciu wszystkich kaczorów na danym terenie mowy być nie może, gdyż k a c z o r m a j ą c y p r z y s o b i e k a c z k ę n a w a b n i e i d z i e. Natomiast idą dobrze kaczory krzyżówek na wab około połowy kwietnia, a cyranek około 1 maja, t. j. kiedy *gros* kaczek siedzi już na gniazdach i rola kaczorów jest już właściwie spełniona.

Bezwzględnie nieracjonalnem jest polowanie na kaczory z podrywu, gdyż odstrzeliwuje się wtedy przeważnie kaczory od pary, poza tem bardzo łatwo o pomyłkę.

W tem miejscu na niekorzyść myśliwych polujących na Polesiu muszę stwierdzić, że za wiele stosunkowo polują na kaczory krzyżówek a za mało na cyranki. Pochodzi to stąd, że zamiejscowi myśliwi zwykle polowanie na kaczory łączą z polowaniem na głuszce, a więc polują w pierwszych dniach kwietnia, a wtedy na wab idą tylko krzyżówki, myśliwi zaś miejscowi chcą rozpocząć sezon wiosenny jak najwcześniej, a więc nawet już pod koniec marca. Poza tem kaczor krzyżówki jest efektowniejszy od cyranek, u wielu strzał do cyranki nie jest wart naboju, do czego niemało przyczynia się pojecie Poleszuków, którzy za kaczkę uważają jedynie tylko krzyżówkę a cyrankę za coś grubo pośledniejszego.

Czy strzelanie kaczorów na wiosnę jest tak bardzo szkodliwe, w tej kwestji są zdania podzielone. Ze swej strony uważam, że raczej szkodliwym jest sam fakt szczególnie c z ę s t e g o p o l o w a n i a na danym terenie, gdyż niepokoi miejsca lęgowe, a ten moment i u kaczek ma większe znaczenie, niż sam fakt ubicia kilku kaczorów. Stwierdzam natomiast, że dotychczasowy zakaz polowania na wiosnę na kaczory w Wielkopolsce w niczem się nie przyczynił do podniesienia stanu kaczek w tych okolicach.

Jakkolwiek te sprawy stoją, projektuję jako termin rozpoczęcia polowania na kaczory dzień 15 kwietnia, który to termin da gwarancję, że nie będą odstrzeliwane kaczory od pary.

O ile chodzi o sady, to pod tym względem panuje przesada. Na Polesiu obecnie zbiera się bardzo mało sadów. Napewno więcej myśliwych poluje na jelenie karpackie niż myśliwych na sadach poleskich.

Dla utworzenia się sadu potrzeba lustra wody otoczonego ze wszech stron sitowiem, a najczęściej łozą i, co najważniejsze, potrzeba spokoju, a tego spokoju szczególnie brak.

Prawdą jest, że na jednym sadzie można zastrzelić dużą ilość kaczek, rzadko jednak przekracza się setkę, a nie należy się tą cyfrą przerażać, gdyż jest to tylko pewien procent stanu z danego sadu. Trzeba też pamiętać, że na takim sadzie poluje się tylko raz do roku, gdyż jedno polowanie sad rozbija, o jakimś więc systematycznem wybijaniu kaczek na tym samym sadzie mowy być nie może.

Pojęcie rzezi, jak niektórzy nazywają ten rodzaj polowania, jest rzeczą względną. Uważam, że nie cyfrowa ilość stanowi o mianie rzezi, lecz sposób wykonywania polowania. Pod tym względem panuje u nas często nieporozumienie. I tak n. p. myśliwi karpaccy i kresowi każde polowanie na kuropatwy i zające na Kujawach i w Wielkopolsce nazywają rzezią, gdyż mając tego zwierza mało, do takich jak tam rozkładów nie są przyzwyczajeni. To samo dotyczy sadów w pojęciu Małopolan.

Można jakiegoś sposobu polowania nie lubić, ale nie można go potępiać, gdyż każdy sposób jest przeważnie dostosowany do warunków miejscowych, poza tem z każdego najniewinniejszego polowania można zrobić rzeź przez nieetyczne przeprowadzenie go.

Jeżeli porównamy, mające u nas prawo obywatelstwa kociołki z sadami, to zapytajmy, kiedy dane zwierzę ma większe szanse uratowania swego życia, kaczka na sadzie czy zając w kotle? Wszyscy się zgodzą, że kaczka.

Nie można więc bezkrytycznie traktować sprawy, z góry potępiać takie polowanie i proponować zakaz stosowania go. Trzeba pamiętać, że dzierżawa terenów na Polesiu jest droga, że główną zwierzyną jest tam kaczka i że ona odgrywa tę rolę, jaką ma zając w innych częściach kraju.

Sady są atrakcją jedynie Polesia i bodaj, że jedynym tam sposobem polowania w jesieni na kaczki. Trudno wymagać od myśliwego, żeby miał się opiekować lęgiem kaczek, a potem nie miał możności zbierania owoców swoich zabiegów.

Mówi się często o olbrzymiej ilości postrzałków podczas polowania na sadach. Zgódźmy się, że ilość postrzałków na polowaniach na ptactwo jest wogóle zawsze większą niż na polowaniach na czworonogi, ale znowu ilość straconych postrzałków na każdem polowaniu zależy w znacznym stopniu od myśliwych i zorganizowania samego polowania. Strzelanie na każdą odległość, do tego nieodpowiedniemi nabojami, oraz niezapewnienie sobie z góry czy to ludzi czy to psów odpowiednich do szukania postrzałków, to są powody z każdego polowania robiące rzeź. W mojem pojęciu każde polowanie na ptactwo błotne, kury i bażanty bez odpowiedniego psa już z góry przeważnie przesądza o mianie rzezi.

Tyle w obronie sposobów polowania na kaczki na Polesiu, teraz krótko o możliwych powodach ubytku kaczek, szczególnie jeżeli chodzi o Polesie.

Na podstawie tego, co obserwuję, za najważniejsze powody uważam:

1. zmniejszanie się powierzchni stanowisk lęgowych kaczek wskutek postępów meljoracji i wskutek posuchy szczególnie w ostatnich trzech latach;

2. niszczenie jaj i młodych kaczek.

Powody te wzajemnie się uzależniają i uzupełniają.

Poleszucy twierdzą: mało wody, mało kaczek, dużo wody, dużo kaczek. I w tem powiedzeniu jest dużo racji. Polesie poza wczesną wiosną przestało być jednem wielkiem bagnem. Podczas obecnego lata w bardzo wielu miejscach można było w lakierkach dojść do samego brzegu Prypeci.

Na wiosnę rozlewy, wprawdzie zmniejszające się z każdym rokiem z powodu małych śniegów, są jednak dostateczne i dosyć wielkie. Kaczki zakładają gniazda i teraz następuje nagły spadek wody. Powstają coraz to większe dzikie pastwiska, które natychmiast roją się od bydła z pastuszkami i zawsze nieodzownym kundlem. Rozpoczyna się pogrom kaczego rodu. Łatwe do odszukania i dostępne gniazda stają się łupem pastuchów lub ich piesków. A wiadomem jest, jak ciekawi są pastuszkowie w całej Polsce i jak lubią niszczyć wszystko co wpadnie im w ręce, ot tak poprostu dla głupiej fantazji, z nudów. Polescy zaś mają specjalny dar odnajdywania gniazd. Robią to z ciekawości, a często i głód do tego ich zmusza. Niszczą gniazda albo zjadając jaja albo, o ile znajdą już „zalęgnięte“, rozbijają je. W najlepszym wypadku, gdy nie zniszczą, tak często zaglądają do gniazda (dla stwierdzenia, czy kaczka siedzi na nich), że zwykle jaja się zaziębiają. W ten sposób niszczy się setki gniazd, w przyszłości całych stadek. A gdy już wykłują się kaczęta, rozpoczyna się znów proceder wyłapywania i mordowania kłapaczy.

Po kanałach, rzekach i bajorkach stale kręcą się rybacy, jakże więc może być mowa o jakim takim spokoju w czasie lęgowym?

W tem miejscu chcę stwierdzić, że tak w obecnym roku jak i zeszłym w Wielkopolsce i na Polesiu pod koniec lipca spotkałem jeszcze bardzo dużo stadek nielotnych kaczek. Ten moment stwierdza, że data 16 lipca jest zawczesną na otwarcie polowania na kaczki, szczególnie krzyżówki.

Zakorzeniona u nas rekordomanja doprowadza niestety często do tego, że niektórzy strzelacze chętnie odstrzeliwują starkę, poczem pies robi masakrę wśród napotkanych kłapaczy, czem „przyczynia się“ do rozkładu i do poprawienia stosunku trafnych strzałów swego pana. Z wiarygodnych ust słyszałem, że jeszcze tego roku był stosowany, coprawda sporadycznie, rosyjski zwyczaj rozpoczynania polowania na kaczki na ruskiego Piotra i Pawła, a więc przed ustawowym terminem 16. VII. Naprawdę — dowód wielkiego pietyzmu dla carskiego reżimu i nonszalancji w stosunku do polskich ustaw.

Wyciągając wnioski z tego, co powiedziałem, twierdzę, że o ile nie do podniesienia, to do utrzymania dotychczasowego stanu kaczek w całej Polsce, konieczne jest:

1. uświadomienie młodzieży wiejskiej o barbarzyństwie niszczenia gniazd i wyłapywania młodych kaczek, przez wciągnięcie do tej akcji przedewszystkiem nauczycielstwa, przez szkolne pogadanki radjowe oraz wydanie broszury na ten temat i rozdanie jej wśród młodzieży, szczególnie na kresach;

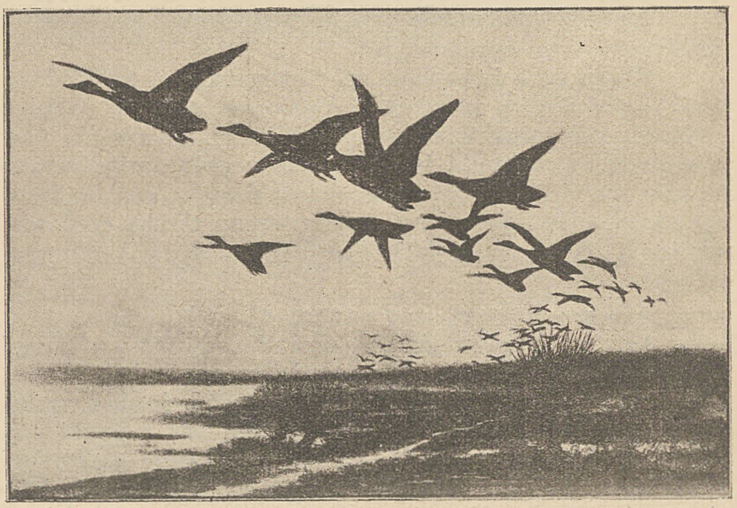
2. przesunięcie czasu ochronnego na kaczki w całej Polsce jak następuje: dla kaczorów ustanowić czas ochronny od 1. VI do 31. VII, oraz od 1. XII do 14. IV, — dla kaczek zaś czas ochronny od 1. XII do 31. VII.

O ile chodzi o Polesie, to wielki czas pośpieszyć się z przeciwdziałaniem, jeżeli nie chcemy, ażeby Polesie jako słynne eldorado kacze, przeszło szybkim krokiem do historji.

Od redakcji.

Do powyższych wywodów i wniosków dodajemy komentarz zredagowany ad hoc przez dr. A. Sandera, który jako prawnik śledzi pilnie ewolucję poglądów na czas ochrony wogóle, a dla ptactwa wodnego w szczególności i już niejednokrotnie w nowelizacji ustaw głos zabierał:

Komitet Wykonawczy P. Z. Ł. chce wyjednać w Min. Roln. i R. R. rozporządzenie rozszerzające czas ochronny dla kaczorów od 1 grudnia do 30 kwietnia, tak, że uwzględniając ustawowy czas ochronny od 1 czerwca do 15 lipca, wolnoby na kaczory na wiosnę polować jedynie w maju. Komitet Wykonawczy wychodzi ze słusznego założenia, że w ten sposób zapobiegnie się niepokojeniu kaczek w okresie parzenia się i najwcześniejszego lęgu. Nadto Komitet Wykonawczy P. Z. Ł. stara się w Min. Roln. i R. R. o przedłużenie czasu ochronnego dla kaczek i wogóle dla wszelkiego ptactwa wodnego i błotnego do 31 lipca tak, że polowanie letnie na to ptactwo rozpoczynałoby się dopiero 1 sierpnia, a zatem zgodnie z postulatem p. Szczepańskiego.



Rys. Bellecroix

Krzyżówki

„Na upatrzonego“

W „Łowcu“ nr 9—10 z dnia 1 maja b. r., str. 84, ukazały się pod tytułem „Na upatrzonego“ uwagi, których autor poddaje krytyce ustęp o tego rodzaju polowaniu z mego artykułu o Zającu bielaku („Łowiec“ 1939, nr. 5—6, str. 52). Krytyka ta bardzo mnie zdziwiła. W odpowiedzi zaznaczę więc przedewszystkiem, że pisząc szkic przyrodniczo-myśliwski o bielaku musiałem oczywiście uwzględnić i ogarnąć całokształt zagadnienia. Co się zaś tyczy strony łowieckiej tego zagadnienia, muszę stanąć stanowczo w obronie polowania na upatrzonego.

Jaki jest główny argument wysuwany przeciwko polowaniu „na pomyka“? Streszcza się on jak następuje: kocice dotrzymują twardziej od kotów, a więc więcej się ich zabija. Polując „na upatrzonego“ można się z tem nie liczyć, ponieważ zarówno koty jak samice dotrzymują jednakowo twardo.

Otton Pereświet-Sołtan.
Szypowszczyzna.

Uwaga od redakcji.

Pozwalamy sobie tu zauważyć, że badania przeprowadzone na większą skalę przez Niemców wykazały niesłuszność poglądu, jakoby pomykały głównie samce, a dotrzymywały dłużej samice. Autorowi uwag wypowiedzianych na marginesie artykułu p. O. Pereświet-Sołtana chodziło zaś głównie o podkreślenie zasady, że nie powinno się strzelać do zająca spoczywającego, co zresztą i p. Pereświet-Sołtan w swym artykule przyznał.

ORNITOLOGJA

ZYGMUNT GODYŃ
LWÓW

JESZCZE PARĘ SŁÓW O KURHANNIKU

W Nrze 13—14 „Łowca“ zeszłego roku podał Adam hr. Starzeński nadzwyczaj ciekawe wiadomości o występowaniu Myszołowa kurhannika w południowo-wschodniej Polsce. Ze stanowiska avifaunistyki szczególnie interesujące są dane pochodzące z obserwacji autora nad tym rzadkim gatunkiem. Ogólnie stwierdza autor, że myszołowa tego widuje się na naszem Podolu corocznie w porze jesiennej. Pozatem powołuje się autor na źródła, według których był kurhannik już wielokrotnie w Polsce widywany lub ubijany.

Otóż chodzi mi o te źródła. Autor cytuje n. p. nazwisko Pražaka, który w swej prawie jedynej pracy („Materialien zu einer Ornis Ost-Galiziens“) podaje wiadomości o ubiciu kilku sztuk Myszołowa kurhannika w Małopolsce Wschodniej. Tymczasem dane Pražaka na podstawie badań i prac von Liburnaua, Kleinschmidta, Domaniewskiego i całego szeregu innych ornitologów, okazały się po części plagjatem, po części dowolnym wymysłem a całości dopełnia jeszcze fakt, że Pražak umarł w obłąkaniu. Z tych powodów większość ornitologów przestała wogóle brać prace Pražaka pod uwagę. Jeśli chodzi o Kurhannika, to cytowane przez hr. Starzeńskiego dane Pražaka omówiłem krytycznie w pracy [1]) zawierającej dokładny opis i szczegółowe dane o tym osobniku, o którym była mowa w Nrze 7—8 „Łowca“ z. r. Daję tam wyraz przekonaniu, że i w tym wypadku dane Pražaka nie wzbudzają zaufania.

Jeśli chodzi o drugiego autora wymienionego przez hr. Starzeńskiego, a mianowicie o Tschusi zu Schmidhoffen'a, to rzecz się przedstawia nieco odmiennie, jednak efekt pozostaje ten sam. Otóż Tschusi nie badał avifauny w naszych okolicach (b. Galicja) osobiście. Miał on po całym kraju rozrzuconą sieć korespondentów, złożonych z leśników, myśliwych, nauczycieli i t. p., którzy mu w swej gorliwości podawali najbardziej fantastyczne dane, a które on zapewne całkiem bezkrytycznie przedrukowywał w czasopiśmie „Ornis“. Stąd powstało i przeszło do literatury wiele błędnych wiadomości, które do dzisiaj się powtarzają i które trudno wyplenić. Dlatego też trudno mieć przekonanie, że wiadomość o ubiciu Kurhannika w Żywieczczyźnie jest wiarogodna.

Z powodów wyżej wyszczególnionych musimy więc przyjąć, że pomijając nowe ciekawe dane hr. Starzeńskiego, mamy dotychczas dwa okazy dowodowe tego gatunku. Jeden opisany w roku 1932 przez Domaniewskiego, a drugi z roku 1937 opisany przezemnie. Do tego należy dołączyć obserwacje hr. Starzeńskiego.

[1]) Rzadkie gatunki ptaków z rzędu *Falconiformes* obserwowane w latach 1920--1937 w południowo-wschodniej Polsce. Acta Ornith. Mus. Zool. Pol. I. II. Nr. 8.

JANUSZ DOMANIEWSKI
WARSZAWA

W SPRAWIE POLSKIEJ NAZWY BUTEO RUFINUS [1])

Skoro już zaczęła się dyskusja w sprawie polskiej nazwy tego ptaka, pozwolę sobie i ja zabrać w niej głos, jako że ja to ją wywołałem. Mianowicie swego czasu użyłem dla *Buteo rufinus* nazwy myszołów kurhannik, którą wziąłem z rosyjskiego. Nazwa ta równie dobrze brzmi w polskim jak rosyjskim i jest dla tego myszołowa zupełnie odpowiednia. Podkreślił to w swym artykule dr. Dunajewski („Łowiec“ 1939, Nr. 13—14, str. 124). Natomiast profesor Ziembicki, zwracając uwagę, że przeszło trzydzieści lat temu A. Sumiński użył dla *Buteo rufinus* nazwy myszołów orlik, jest za utrzymaniem tej starszej nazwy. Ostatecznie wszystko jedno jak *Buteo rufinus* będzie po polsku nazywany, mam jednak przekonanie, że lepiej będzie nazywać go kurhannikiem. I to nietylko dlatego, że nazwa ta mile brzmi dla ucha. Na obronę mego poglądu mam poważniejszy argument. Uważam mianowicie, że w nazwie jakiegoś ptaka, chociażby składała się ona z dwu wyrazów, nie powinna się powtarzać nazwa innego ptaka. Tendencje w tym kierunku istnieją, a mają one na celu podkreślenie podobieństwa jednego gatunku do drugiego. Jest to, mojem zdaniem, zupełnie niepotrzebne, a może się stać źródłem nieporozumień, dzięki temu, że w potocznej mowie mamy skłonność do nazywania rzeczy jednem słowem. Tak więc mówiąc o *Buteo rufinus* powiemy nie myszołów kurhannik, ale poprostu kurhannik. Również zamiast myszołów orlik, będzie można usłyszeć orlik. I oto nieporozumienie, orlikami bowiem nazywamy mniejsze gatunki orłów: orlik krzykliwy, orlik grubodzioby. W nomenklaturze należy dążyć do tego, by takie nieporozumienia były wykluczone. Już to wystarczy, by nazwę myszołów orlik zarzucić, a wogóle dążyć do używania dla ptaków nazw jednowyrazowych.

Nazwa myszołów orlik pozatem nie została nadana zbyt szczęśliwie. Autor zapewne chciał podkreślić, że kurhannik jest większy od naszego myszołowa. Otóż kurhannik pod względem wielkości zajmuje istotnie stanowisko pośrednie między naszym myszołowem i orlikami, pozatem jednak w niczem nie przypomina orlików. Orły mają skok upierzony do samych palców, kurhannik ma skok nieupierzony.

Być może zresztą, że Sumiński tworząc nazwę myszołów orlik brał pod uwagę nazwę niemiecką, która brzmi Adlerbussard. Język niemiecki doskonale znosi tworzenie nazw, złożonych z dwu wyrazów, czego język polski nie znosi. Musimy więc nazywać ptaka nie orlikomyszołów, ale myszołów orlik. A że jest to niepożądane, wskazałem wyżej.

A więc skoro już ptak ten nie posiada polskiej nazwy ludowej, nazywajmy go kurhannikiem, biorąc nazwę z innego języka słowiańskiego, a nie z zupełnie obcego języka niemieckiego.

[1]) Zob. „Łowiec“ 1938, 115, 117; 1939, 123, 124. *(Red.)*.

WŁADYSŁAW GÜRTLER
RZESZÓW

SZKODNICTWO BOCIANA

Że nasz stary znajomy, niemal domownik i „przyjaciel", bocian biały, obarcza stale swoje sumienie licznemi przestępstwami łowieckiemi, dokonywanemi w sposób kłusowniczy codziennie, nieraz na oczach ludzi, o tem wiemy wszyscy. Odbywa on, jak wiadomo, długie, samotne wędrówki po łąkach, po koniczach i po zbożach, szukając wytrwale zdobyczy. Stanowią ją owady wszelkiego rodzaju, jak ćmy i koniki, różne małe gady, jak jaszczurki i węże, wszystkie małe płazy, zwłaszcza żaby i ropuchy, wreszcie myszy i inne szkodliwe gryzonie.

Jednak i gniazda i młode gnieżdżących się na ziemi małych ptaków, jak skowronków, świerszczyków, pliszek żółtych, dzierlatek a nawet czajek doznają od bociana ciężkiej krzywdy.

Jest to ptak żarłoczny. Wszystko, co złowi, chowa w swojem obszernem wolu, jakby w otchłani bez dna, dla siebie i na zapas. Sam wiecznie głodny, a w czasie kiedy karmi swe potomstwo, nie uznaje już żadnej miary w apetycie. I wtedy właśnie staje się niezmiernie groźny także dla każdej drobnej łownej zwierzyny.

W samotnych wędrówkach natrafia często na gniazda z jajami kuropatw, derkaczy, przepiórek i bażantów lub na ich pisklęta. Znalazłszy jaja, wyjada wszystkie za porządkiem, młode zaś sprytnie wyłapuje, nie zważając wcale na rozpaczliwe lamenty rodziców.

Patrzałem raz na bociana, wykonującego ciekawe ruchy na bliskiej, trawiastej łące. Podskakiwał i biegał, schylał się co chwila, wymierzał w zielska szybkie ciosy swym potężnym dzióbem, potem podnosił głowę i coś połykał. Tak był tą czynnością przejęty, że mnie, gdy się zbliżałem, nawet nie zauważył. Chciałem sprawdzić, co było na rzeczy. W pewnym momencie zobaczyłem dwie stare kuropatwy, wzlatujące przed nim i zaraz zapadające. Zdawało się, że go atakują. Domyśliłem się odrazu wszystkiego. Rozgrywała się na moich oczach ponura tragedja. Bocian wyławiał małe kuropatewki! Strzeliłem więc do rabusia, a gdy się rozciągnął, podszedłem do niego i rozciąłem scyzorykiem napęczniałe wole. Znalazłem w niem oprócz wielu różnych owadów także trzy świeżo pożarte kurczątka.

Obrączkując przed kilku laty we wsi Bratkowice młode bociany, zauważyłem, że do gniazda, zbudowanego niestety zbyt wysoko na drzewie, ażeby się móc dostać do niego, zaniósł stary bocian małego zajączka. Trzymał go w dzióbie w połowie ciała tak, że główka z predniemi skokami zwisała z jednej strony czerwonego sztyletu, z drugiej zaś tylna cześć drobnego korpusu. Na gnieździe wśród trojga młodych zrobił się ruch niebywały. Wstały zaraz na nogi i poczęły rozbijać ostrymi dzióbami smaczny kąsek, sycząc przytem cicho i klekocąc z zadowolenia.

W ten sposób mógł skończyć swój żywot niejeden zajączek. Dnia 5 lipca b. r. odwiedziłem znowu wymienioną wioskę i obrączkowałem bociany, założywszy obrączki siedemnastu osobnikom. Bocianiątka duże, wyrośnięte, prawie na wylocie. W jednem z gniazd, zbudowanem na rozłożystej lipie, znalazł mój pomocnik aż pięcioro młodych. Poczuwszy, że zbliża się do nich człowiek, przywarowały wszystkie w zagłębieniu swego domu. Gdy wreszcie chłopak znalazł się nad gniazdem i wyciągnął rękę, by ująć któregoś z przerażonych boćków, zerwał się jeden z nich, zapewne najstarszy wiekiem, rozwinął skrzydła i spłynął lekko i zgrabnie na ziemię. Przed naszym pościgiem umykał biegnąc lub podlatując. Zauważyliśmy wtedy, że uciekając, przysiadał kilka razy, otwierał dziób szeroko i starał się wyrzucić coś z gardła. Gdyśmy go ujęli, wyrzygnął z siebie dość dużego karpia - lustrzenia wagi conajmniej 25 *dkg*. Inne bocianki, opuszczane później z gniazda w koszu na linewce na ziemię, wyrzucały także z siebie po kolei karpie - lustrzenie tej samej wielkości. Ukradli je dla swych dzieci zapobiegliwi rodzice w dość odległych stawach rybnych, urządzonych we wsi Widełce.

Ale tam może je łatwo spotkać śmierć, bo właściciel stawów i hodowca ryb nakazał swoim strażnikom, by wszystkie bociany strzelali. A jeśli zginą stare ptaki, to dzieci czeka śmierć głodowa.

Ażeby nie dopuścić do tej ewentualności, poleciłem obecnemu przy obrączkowaniu gospodarzowi, na którego obejściu znajdowało się gniazdo, aby dokarmiał młode ptaki, skoro dostrzeże, że ich rodzice ze swej wyprawy już nie wrócili.

Stwierdzono w bardzo licznych wypadkach, że bocian jest wielkim szkodnikiem nawet wtedy, gdy żywi się samemi żabami lub jaszczurkami, które, jak wiadomo, niszczą niezliczone ilości dokuczliwych owadów.

Powinno się go zatem strzelać. Ale, że jest pomnikiem przyrody i to pięknym i że cieszy się u nas, zwłaszcza na wsi, dziwnym, zgoła nieuzasadnionym sentymentem, udzielającym się również i myśliwym, i że wreszcie związało się z nim wiele ciekawych legend, trudno się zdecydować na strzał do niego, gdy go się spotka. Toteż toleruje się tego szkodnika nawet w rewirach łowieckich, patrząc przez palce na jego różnorakie przestępstwa.

NIEZWYKŁE ZDARZENIA

Redakcja uprasza o nadsyłanie wiadomości nadających się do tej rubryki.

ZAPALCZYWOŚĆ GOŁĘBIARZA

W wiosce Tarnogóra powiatu Nisko, do kuźni kowala Bednarza w czasie największego ruchu wpadł gołębiarz. Kowal, nie tracąc czasu, zatrzasnął drzwi, a gdy po dłuższych usiłowaniach nie udało się rabusia schwytać żywcem, ubito go kijem. Później zauważono między bryłami węgla w kuźni kuropatwę z główką ukrytą pod skrzydłami. Jastrząb ujął ją więc żywą.

Drugi wypadek zdarzył się w tej samej wiosce. Gołębiarz tuż przed oknami domostwa chwycił gołębia, usiadł z nim na stojącej opodal lipie i rozpoczął ucztę. Zauważył to chłopak, który w danej chwili znalazł się na podwórzu, pochwycił orczyk od woza i trafnym rzutem ubił rabusia.

Mieczysław Korasiewicz
Rudnik n/S.

PIŚMIENNICTWO

I. PIŚMIENNICTWO POLSKIE

MARJORIE KINAN RAWLINGS, ROCZNIAK, powieść. (The yearling). Przekład Adama Gallisa. Warszawa, Księgarnia literacka, 1939, drukarnia „Linolit", str. 446. Okładka barwna, wykon. w druk. „Progress".

W poprzednim numerze „Łowca" (Nr. 13—14, str. 129) omówiłem inne wydawnictwo tejże księgarni. Była to „Wyspa pięciu miljonów pingwinów" Keartona. Porównanie obu tych książek wypada na niekorzyść autorki amerykańskiej, która napisała „Roczniaka". Prawda, — są tu polowania, nawet liczne i niezwykłe, są tu opisy, malujące nam puszcze i przestrzenie Ameryki północnej, w szczególności Florydy, a mimo tego „Wyspa pingwinów", gdzie nikt nie poluje i gdzie niema żadnych przeżyć myśliwskich, zdobywa serce myśliwego - przyrodnika, a „Roczniak" nie pozostawia silniejszego wrażenia. Możnaby nawet powiedzieć, że pozostawia pewien niesmak. Autor „Wyspy pingwinów" to nietylko miłośnik przyrody i filozof, ale przytem wielki esteta. Tych czynników w „Roczniaku" nie można się dopatrzyć. Pobudki estetyczne zdają się nie istnieć dla autorki „Roczniaka". Posługując się metodą czysto realistyczną wywołuje ona niejednokrotnie wrażenia, nie mające nic wspólnego z pięknem. Być może, że jest to celowe. Może tego wymagało tło powieści, środowisko, w jakiem rozwija się życie osadników w puszczy amerykańskiej, polegających wyłącznie na własnej pracy, własnej sile (dosłownie: sile fizycznej), własnej przebiegłości i wytrzymałości. Okrutna jest wkoło przyroda, okrutna walka z żywiołem, okrutna rywalizacja z innymi mieszkańcami odludzia. Kto chce poznać tego rodzaju życie, kto ma ochotę wglądnąć w warunki, wśród jakich cieszą się i cierpią tacy Baxterowie czy Forresterowie, — warunki zupełnie obce naszemu czytelnikowi, — ten będzie miał czytania podostatkiem, bo książka jest spora (446 stronic !), a druk ścieśniony, tak, że o czytaniu jej „jednym tchem" niema mowy. Przeciwnie. Nawet nie można jej czytać zbyt długo jednym ciągiem, bo znużyłaby. Może dlatego, że niema w niej właściwie żadnego wątku „powieściowego", a scenarjusz poszczególnych rozdziałów jest dosyć monotonny. Niema prawie rozdziału, w którymby nie było mowy o jedzeniu. Ale i o to może autorce chodziło. Cóż na takiej pustce może być przyjemniejszego i konieczniejszego — od jedzenia. Jedzą więc wciąż wszyscy, jedzą obficie i z apetytem, tak, że jedyny moment dramatyczny, do jakiego przychodzi pod koniec opowiadania, to grożąca bohaterowi powieści (był to młody Jody Baxter) śmierć g ł o d o w a z powodu braku żywności po ucieczce z domu. Rzecz tak się miała, że Jody wychował sobie jelonka - sierotę i pokochał go jak własne dziecko. Gdy jednak jelonek osiągnął rok życia („Roczniak") i stał się zbyt niesforny, gdy zaczął robić nietylko psoty, ale poważne szkody w gospodarstwie, grożące zniszczeniem zbiorów roślinnych, (kartofle, kukurudza) przeznaczonych na wyżywienie rodziny przez zimę, nie było innej rady, jak zgładzić ulubieńca. Jody sam uczynić tego nie chciał. Na rozkaz chorego ojca matka strzeliła do zwierzęcia. Jody tak to odczuł, że ubóstwianemu dotąd ojcu zaczął złorzeczyć, życząc mu śmierci (sic) i na pół przytomny postanowił pójść na tułaczkę. Wszystko wreszcie dobrze się skończyło. Jody o wychowanku nie może zapomnieć, ale wraca do domu, gdzie następuje pojednanie z ojcem.

Nie wiem, w jakim stopniu autorka posiada znajomość przyrody. Nie wiem też, czy to raczej tłumacz nie może się zdecydować, jakiego gatunku zwierzęciem był „Roczniak". Wprawdzie nazywa się go najczęściej jelonkiem, — i niewątpliwie jestto jeleń z gatunku, zdaje się t. zw. białoogoniastego, — ale w tekście spotyka się takie nieprawdopodobne bałamuctwa, jak identyfikowanie łani i sarny, jelenia, kozła, daniela nawet !

Są opisywane pozatem inne zwierzęta i rośliny, co do których gatunkowości nie można się zorjentować. A szkoda, bo powieść może być fantastyczna, ale opis przyrody owych okolic powinien być wierny. Książka dla niejednego byłaby wtedy pouczająca pod tym względem. Są i takie nonsensy, jak n. p. powiedzenie, że mięso niedźwiedzia na wiosnę jest bardzo smaczne, bo utuczyło się podczas snu zimowego (sic !).

Zdaje się, że tłumacz trafiał miejscami na trudności językowe, z któremi nie zawsze łatwo było sobie poradzić. Dlatego też może nadużywa takich wyrażeń, jak „fajno" albo „byczo", które wskazują, że przekład miejscami był zupełnie wolny.

Niepodobna jednak nie wytknąć bardzo wadliwej korekty. Robi to złe wrażenie.

Witold Ziembicki.

II. PIŚMIENNICTWO FRANCUSKIE

1) Paryska firma nakładcza, Albin Michel, rozpoczęła druk serji „Scènes de la vie des bêtes" (Sceny z życia zwierząt). Dwa pierwsze tomy traktujące o kameleonie i wielbłądzie nie miały naturalnie znaczenia dla myśliwego, natomiast trzeci jest jakby przeznaczony dla myśliwego. Jest to „biografja" dzikiego bawołu p. t. Nyaré buffle sauvage. Autor Jerzy Trial, który spędził długie lata w Afryce, opisuje po mistrzowsku życie bawołów afrykańskich, przedstawiając żywot i przygody bawoła *Nyaré*, którego czytelnik obserwuje od momentu urodzenia aż do tej chwili, gdy jako stary byk zostaje przez młodszego i silniejszego pokonany i od trzody odbity. *Nyaré* udaje się w samotną wędrówkę, raniony przez myśliwego przechodzi męki i szuka ukojenia w błotnistej lagunie. Rozdrażniony bólem staje się niebezpieczny dla murzynek dążących do jedynego źródła po wodę i w końcu zabija jedną. Miejscowy czarny myśliwy, uważając że załatwienie się z tym postrachem jest jego obowiązkiem, że winien to swej sławie łowieckiej, wybiera się nań ze swoim skałkowym karabinem, rani go śmiertelnie, lecz ranny bawół ma jeszcze na tyle sił, że pływając uchodzi ścigającym go murzynom i tonie u brzegu morza.

Autor we wstępie zastrzega się, że książka jego nie jest skierowana przeciw myśliwym i polowaniu. Trzeba mu w tem rację przyznać, bo chociaż w paru scenach łowieckich nie wychodzą myśliwi dodatnio, są to tylko myśliwi głodni na mięso, strzelający na niemożliwe odległości, zasypujący zwierza kulami, bez troski o szkody jakie tem czynią. Takim przeciwstawia autor myśliwego prawdziwego (może siebie), który wskazuje właściwą drogę i występuje ostro przeciw niemyśliwskiemu postępowaniu. Jako przeciwstawienie takich quasi - myśliwych wysuwa starego myśliwca czarnego, który zdając sobie sprawę z marnoty swojej broni, podchodzi aż pod samego bawoła.

Każdemu myśliwemu władającemu językiem francuskim można tę książkę gorąco polecić. Przekonajmy się raz, że z obcych literatur łowieckich ma wartość nietylko niemiecka. Francuska może więcej odpowie naszemu smakowi, szkoda tylko, że nie jest zbyt obfita.

2) Niedawno nakładem firmy Payot w Paryżu, w ramach znanej bibljoteki geograficznej, pojawił się nowy tom myśliwski. Tym razem wystąpił członek międzynarodowej Rady łowieckiej i delegat francuskiego Klubu św. Huberta, Antoni de La Chevasnerie, z książką p. t. Zwierzyna europejska i polowanie na nią (Gibiers et chasses d'Europe).

Praca ta, wykazująca wysoką klasę łowiecką i zapał myśliwski autora, a także jego prawdziwą znajomość zwierzyny łownej, dzieli się na cztery części. Pierwszy rozdział, najdłuższy, poświęcony jest ptakom, drugi ssakom i to królikowi, zającowi, sarnie, dzikowi, kozicy, dzikiemu renowi i jeleniowi. Trzeci rozdział, zatytułowany „we Francji i gdzieindziej" (En France et ailleurs), omawia polowania we Francji, w Skandynawji, Irlandji i Wielkiej Brytanji. Czwarty zaś rozdział pod tytułem „dookoła polowania" (Autour de la chasse), jest również bardzo ciekawy. Rozpoczyna się ustępem o sztuce pięknej w związku z łowiectwem, następnie mówi o bibljotece doskonałego myśliwego, potem przechodzi do samego łowiectwa, zajmując się bronią, psami, rozpatrując pytanie, czy można cały rok polować i t. d.

Książka ta ilustrowana jest 22 fotografjami zwierząt i 11 pięknemi rysunkami zwierząt ołówka Rogera Reboussin.

Poloników mało właściwie, bo autor w Polsce nie polował. Podaje znaną fotografję rozkładu dzików z jednego polowania u ks. Karola Radziwiłła, a pozatem wspomina parę razy o Polsce, z tego dwa razy przy jeleniu. Raz wychwala wieniec jelenia ubitego przez p. Jana Malcolmsona w Hyczy w łowisku hr. Palffy'ego. Drugą wzmiankę, dłuższą, z entuzjastycznym opisem polowania w Karpatach przez Franciszka Edmond-Blanc'a pozwolę sobie podać w tłumaczeniu, jako interesującą dla myśliwych małopolskich.

„Jest to polowanie, którego każdy prawdziwy myśliwy powinien spróbować conajmniej raz w życiu.

Okolica, mieszkańcy, piękna pogoda, olbrzymie trudności dopięcia swego celu, to wszystko składa się na to, aby rozentuzjazmować.

W poszukiwaniu grubych trofeów chciałem udać się na polowanie w okolice tak zwanych dzikich Karpat, to jest w najdalszy punkt trójkąta, który tworzy na najdalszem południu granica Polski z granicą rumuńską i czechosłowacką.

Dzięki nadzwyczajnej uprzejmości hr. Milewskiego - Lipkowskiego, który zajął się wszystkiemi formalnościami i raczył mi być pomocnym jako tłumacz, udałem się w jego towarzystwie do Bartagul, gdzie zakwaterowaliśmy się w małem schronisku, położonem w zachwycającej dolinie na wysokości powyżej 1300 *m* i około 100 *km* odległości od kolei żelaznej. Był cudowny czas, nawet za ciepło, albowiem jelenie ryczą słabo albo i wcale nie ryczą podczas wielkiego ciepła. Przy małem szczęściu, a zadając sobie dużo trudu, udało mi się ubić piątego dnia średniego dwunastaka.

Zstąpiwszy do Worochty celem skorzystania z pociągu, dowiedziałem się, że w łowisku, w którem ubiegłego roku polowałem przez dziesięć dni nic nie ubiwszy i nic nie ujrzawszy, pewien myśliwy zabił wspaniałego szesnastaka. Wieniec jego ważył ponad 11 *kg*! Zawód? Z pewnością nie! lecz chlubna niepewność zdobyczy. W ciągu dwunastu godzin przebiegłem pieszo 35 *km* i 60 samochodem po drogach nie do pojęcia, aby przybyć do łowiska, gdzie spodziewałem się znaleźć dobre trofeum, gdy oto w dziesięć minut drezyną udaje się innemu w moim terenie z roku poprzedniego zabić byka, którego wieniec waży prawie dwa razy tyle co mój. To są niespodzianki polowania na jelenia na podchodnego.

Czy cały czar polowania nie leży właśnie w tej niepewności? To jest moje zdanie“.

3) Gdy przed niedawnym czasem ukazała się w dziennikach notatka „Dzikie zwierzęta w Polsce“, zawiadamiająca, że w Paryżu zaczyna wychodzić serja „Chasses polonaises“, a tom pod tytułem „Les bêtes sauvages de Pologne“ pióra Jana Szczepkowskiego będzie jej pierwszym numerem, ciekawość moja jako zbieracza książek łowieckich oraz myśliwego, zdającego sobie dobrze z tego sprawę, że taki pierwszy krok ma wielkie znaczenie dla propagandy naszego łowiectwa za granicą a pierwszy numer będzie decydował o powodzeniu całej serji, była bardzo wielka, toteż poleciłem księgarni dostarczyć mi tę książkę skoro tylko prasę drukarską opuści.

Właśnie ją otrzymałem. Nosi tytuł „Chasses polonaises, Loups-Sangliers-Ours. Jest to tłumaczenie książki Jana Szczepkowskiego p. t. „Władcy kniei, Obrazki myśliwskie“. I tu w samym tytule jest pierwszy zasadniczy błąd. Każdy obcokrajowiec, sądząc po tytule, będzie się spodziewał opisów polowań odbywanych w Polsce. Znajdzie o wilkach, ładne, ale obcego może niezbyt interesujące, a u niewtajemniczonego wyrabiające mylne pojęcie o polowaniu na wilki, wspomnienia oficera polskiego z czasów inwazji bolszewickiej, względnie po niej. Oddając coś zagranicy do czytania nie trzeba zapominać, że my inaczej wiele rzeczy widzimy. Niejednego, co dla nas jest naturalne, cudzoziemcy nie rozumieją, a przytem my mamy dla wielu rzeczy naturalny sentyment, którego od innych nie możemy wymagać. O dzikach dawać zagranicy humoreskę, w której główną rolę gra czynownik rosyjski, typ nie w całej Polsce znany (a tam gdzie był znany, jest dzisiaj zapomniany), to trochę za wiele. Łatwo może to za granicą, gdzie jak wiadomo słabo się niestety w naszych stosunkach orjentują, wzbudzić nie bardzo pochlebne mniemania o naszych polowaniach i obyczajach. Zresztą oba te opowiadania z natury rzeczy tracą wiele ze swego swoistego uroku właśnie z powodu tłumaczenia, które nie może oddać ani soczystości języka, ani jego barwy lokalnej. Trzecie zaś opowiadanie, o niedźwiedziach, nie powinno było się wogóle znaleźć w tem tłumaczeniu, przecież powiedzmy sobie otwarcie, niema ono nic z polskiemi polowaniami wspólnego, poza tem chyba, że dwóch Polaków spisało się na Kaukazie nie bardzo po myśliwsku.

To co powiedziałem nie jest krytyką „Władców kniei“, książki, mającej u nas swoją markę literacką wyrobioną, ale tego, że właśnie ta książka, tak wyłącznie dla Polaków i to powiedzmy trochę starszej przedwojennej daty pisana, została przetłumaczona i zagranicy udostępniona. Jestem pewien, że nie wzbudzi ona zainteresowania, a bardzo łatwo będzie fałszywie rozumiana, bo co dobre dla Polaka, to nie zawsze strawi Francuz.

Tłumaczenie było z powodu swoistości stylu i wyrażeń bardzo trudne, z tego powodu często gdy tłumacz chciał się ściśle trzymać oryginalnego tekstu, wychodzi to trochę ciężko. Ale są rzeczy, które rażą, a można było ich uniknąć, np. na str. 97 użyto słowa *l'élan*, a w oryginale II wyd., str. 77, jest *jelenie*, no a łoś a jeleń to nie to samo i może uważnego czytelnika całej tej opowieści uderzyć. Dalej w oryginale na str. 82 jest zdanie o starym powstańcu: lecz i tu nie próżnował społecznie, uświadamiał lud w duchu narodowym i wychował syna na znanego i zasłużonego wielce pisarza ludowego. A w przekładzie: „Ce qui ne l'empêchait pas de travailler au profit de la communauté: il instruisait les gens dans un esprit populaire et avait fait de son fils Mieczysław un excellent secrétaire de la commune“. Przepraszam bardzo tłumacza, ale *narodowy* to nie *populaire*, to zresztą we Francji trąci zanadto niedawnemi a nieprzyjemnemi wspomnieniami „front populaire“, a znany i zasłużony wielce pisarz ludowy“ to nie „świetny sekretarz gminy“. Myśliwy zaś *ogromny* to nie *chasseur émérite*, bo to jakiś „strzelec emerytowany“. Bryczka, jeśli jej się nie tłumaczy, to już niech zostanie *bryczką*, ale nigdy „*briska*“, bo to nawet dźwięku nie oddaje. W każdym zaś razie możemy się domagać, aby książka, której autorem jest Polak, nie zawierała takich fenomenów, jak np. *Bialowietz, Opinogorsk* i t. p. Rozumiemy wszyscy zdanie autora „*Polaka czapką, papką i dobrą wolą kupisz*“, ale czy Francuz zrozumie sens tego: „*on peut, monsieur, acheter un Polonais avec une casquette, avec de gruau, avec de la bienveillance*“ (!).

Przedmowę napisał A. hr. de la Chevasnerie, autor książki „Gibiers et chasses d'Europe“. Przedmowa napisana z wielką sympatją dla Polski i dla jej polowań, ale czasem w tej sympatji pisarz ten, który sam jeszcze w Polsce nie polował, powiedzmy „kalospintochromatyzuje“. Twierdzi np., że w lasach poznańskich liczy się na 100 hektarów 100 jeleni i danieli. Otóż mogę zapewnić Szanownego Członka Międzynarodowej Rady Łowieckiej, i to na podstawie własnego doświadczenia, że nawet na 1000 hektarów niema przeciętnie ani połowy, to jest 50 jeleni, a daniele są zupełnie rzadkie u nas, zaledwie w kilku kompleksach leśnych istnieją. Dalej podaje, że polowania z nagonką, dające w jednym dniu 400 do 500 zajęcy są rzeczą normalną, wyjątkowo zaś dochodzą jednodniowe rozkłady do 1400—1600 zajęcy. Oby tak było, — ale na razie jest tak tylko w książce, a nie na polowaniu. Mają się trafiać jednodniowe i na jednego myśliwego rozkłady po 100 dubeltów lub kszyków, należy więc podziękować za dobre mniemanie o stanie tej zwierzyny u nas, a o nas jako niechybnych strzelcach.

Tak tytuł jak i przedmowa każą się czego innego spodziewać niż to, co czytelnik znajduje. Jeżeli miało się to tłumaczyć, to lepiej już było zachować dawny tytuł z dodatkiem: opowiadania myśliwskie.

S. Mrávincsics (Poznań).

III. PIŚMIENNICTWO NIEMIECKIE

„DEUTSCHE JAGD“

Nr. 6/1939. Str. 129. **Martin Herberg.** „Nasze kuropatwy“. Myśliwi żalą się, że kuropatwy z pierwszego lęgu są coraz rzadsze i z początkiem sezonu więcej spotyka się stad niewyrośniętych, niż „dojrzałych“. Przyczyny tego zjawiska dopatrują się w tem, iż pewna część kur zbyt późno rozpoczyna lęg. Zdaniem tych myśliwych należałoby całe takie opóźnione stadka wraz ze starkami, skłonnemi do późnego lęgu odstrzeliwać, oszczędzać natomiast starki i potomstwo dobrze wyrośnięte. Stałe usuwanie kur

późno się lęgnących miałoby, zdaniem tych myśliwych, doprowadzić do stopniowego zaniku tego niepożądanego zjawiska.

Pogląd taki niema, zdaniem autora, żadnego uzasadnienia. Wcześniejszy czy późniejszy lęg zależny jest przedewszystkiem od aury wiosennej. Jeżeli w drugiej połowie kwietnia panuje pogoda, kury wkrótce poczynają znosić jaja. Początek znoszenia jaj przypada mniej więcej na 1 maja, a opóźnić go może o dni kilka niepokój powodowany robotami w polu, jeżeli panuje za długo w pobliżu miejsca obranego na gniazdo. Dwa tygodnie nie odgrywa tu większej roli. Wysiadywanie jaj trwa 23—23 i $^1/_2$ dnia. Kura rozpoczyna wysiadywanie bezpośrednio po zniesieniu ostatniego lub przedostatniego jaja. Dużo więc zależy od tego, jak liczny jest lęg. Jeżeli kura zniesie jaj 14, pisklęta wykłują się o cały tydzień wcześniej, aniżeli gdy jaj będzie 21. Młódka do zupełnego wyrośnięcia potrzebuje 100 dni i dochodzi w tym okresie do wagi około 350 gramów. Po dalszych dniach 20 osiąga młódka wagę końcową około 400 gramów, z piersi znika upierzenie młódki, jest zatem pod każdym względem „gotowa“.

Przyjmując, że przy średniej ilości jaj i wczesnym lęgu wysiadywanie rozpocznie się 15 maja, to skoro trwa ono 23 dni, wykłuwanie się piskląt przypadnie na 7 czerwca. Do początku sezonu (1 września) pozostaje zatem jeszcze pełnych 84 dni. W ciągu tego okresu kuropatwa osiąga $\pm ^3/_4$ swego wzrostu. Nie możemy więc wymagać, by z początkiem sezonu kuropatwy były już całkowicie wyrośnięte. W niektórych latach spotyka się wszak z początkiem sezonu stadka liczące zaledwie 4 tygodnie. Czy można orzec, że rozchodzi się tu o potomstwo kur, skłonnych z reguły do późnego lęgu? Równie dobrze może to być potomstwo kur wcześnie się lęgnących, których pierwszy lęg wskutek zimna, niepogody lub wypadku zmarniał. Byłoby nieroztropnem taką parę starek wraz z potomstwem odstrzeliwać. Stawianie przeto reguły, że późno lęgnące się kury wraz z potomstwem należy odstrzeliwać, a wszystkie „dojrzałe“ stadka oszczędzać — byłoby wierutnym nonsensem. Trzeba pamiętać, że rozwój kuropatwy w trzech miesiącach jest dokonany. Jeżeli zatem nawet jeszcze z końcem maja rozpocznie kura znosić jaja, a wysiaduje je od 15 czerwca do 8 lipca i następnie pisklęta 12 lipca zginą, a kura pomimoto rozpocznie lęg wtórny z 10-ciu jaj złożony, z których pisklęta wykłują się około 18 sierpnia (zatem na krótko przed sezonem), to w każdym razie do połowy listopada wyrosną całkowicie i będą przed początkiem zimy tak samo dojrzałe, jak kuropatwy z najwcześniejszego lęgu. Byłby to jednak najniekorzystniejszy wypadek, jaki można sobie wogóle wyobrazić i który tylko nader rzadko może się zdarzyć.

Trzeba się więc trzymać starej zasady i przestrzelać kuropatwy tyle tylko, aby na rok następny pozostała do rozmnoży dostateczna obsada. Obowiązkiem myśliwego jest dbać o zapewnienie kurom miejsc dogodnych na gniazda, pozostawiając w tym celu niewykoszone kępy traw i t. p., zwłaszcza, gdy takich miejsc naturalnych w łowisku brakuje. Pierwszorzędne znaczenie dla hodowli kuropatw mają trwałe „schrony“ w postaci remiz, kęp jeżyny i tarniny i t. p., które zapewniają młodym kuropatwom suche miejsca w czasie dżdżu, a w zimie i jesieni schronienie przed jastrzębiem.

„WILD UND HUND“

Nr. 40/1938. Str. 632. **T. Zillikens.** „O w i e w i ó r c e“. Zwinności swej, tak miłej oku przyrodnika i myśliwego, używa wiewiórka niestety i w złych zamiarach i aż nazbyt często można ją obserwować na manowcach. Mały ten rabuś, jak autor wielokrotnie miał sposobność przekonać się, wybiera z gniazd ptasie jaja i pisklęta. Szczególne zdolności ujawnia w sadach, kradnąc owoce, przedewszystkiem jabłka, nie gardząc poziomkami i wiśniami. W ciągu pewnego przedpołudnia, jak autor zauważył, zdążyła wiewiórka przenieść większą ilość jabłek ze sadu do swej zimowej spiżarki, założonej w pobliskim lesie. Oprócz orzechów szczególnym przysmakiem wiewiórki są grzyby, których na zimę gromadzi spory zapas, zamieniając na spiżarnię nawet opuszczone jamy królicze. Myśliwy powinien poświęcić nieco uwagi temu, skądinąd miłemu zwierzątku i zredukować przy pomocy małokalibrówki liczbę wiewiórek, jeżeli w jakiejś okolicy występują zbyt licznie. Leży to zresztą także w interesie ptaszego świata śpiewaczego.

Pewnego wiosennego wieczoru posłyszał autor zatrwożony świergot pary szpaków, dochodzący z pośród konarów pobliskiego buka. Podszedłszy bliżej, zauważył wiewiórkę dobierającą się do gniazda szpaków, skąd też wkrótce wyniosła nielotne jeszcze pisklę i zaraz obok na gałęzi spożyła, nic sobie nie robiąc z atakującej ją rozpaczliwie pary rodziców. Uporawszy się z pisklęciem pospieszyła po następne, lecz celny strzał z małokalibrówki przeszkodził dalszym zbrodniom. Podobnych wypadków zauważono więcej. Jakie czynniki wpływają na ubarwienie wiewiórki, od czerwonego poprzez ciemno szare, aż niemal do czarnego, nie zostało jeszcze dostatecznie wyjaśnione. *Zetpe.*

KORESPONDENCJA

We Lwowie, w sierpniu 1939.

Jak prawie każdego roku, odwiedziłem tego lata piękne Podole, z którem łączy mię, na przestrzeni bardzo długich lat, szereg najmilszych sercu myśliwskiemu wspomnień.

Wyjątkowo skwarne dnie i duszne poranki i wieczory niesprzyjały zbytnio polowaniu na rogacza, ich wynik nie był więc obfity, natomiast nastręczyły one okazji do obrazków i zdarzeń, które zapadły na trwałe w pamięć moją.

Oto jeden z nich:

Dnia 25 lipca o godzinie 17 stanąłem na skrzyżowaniu linji lasowych, tam bowiem żerować zwykł pod wieczór dobry rogacz. Po długotrwałej upalnej pogodzie padał dnia poprzedniego i ostatniej nocy ulewny deszcz, który znakomicie odświeżył parne w ostatnich dniach powietrze, co rokowało nadzieję, że wcześniej, niż dotąd, ruszą sarny.

Mając uzasadnione dane, że upragnione spotkanie nastąpi, przygotowałem się dokładnie do spodziewanych możliwości i dobrze ukryty, spokojnie szukałem na otwartych miejscach czerwonej plamy. Po kilkunastu minutach zobaczyłem na linji, w odległości kilkudziesięciu kroków, dużą lochę z kilkoma warchlakami. Locha ryła pracowicie na środku linji, warchlaki zaś, jeszcze prążkowane, kręciły się w jej pobliżu i uganiały za sobą, potrącając się i stając ze sobą do bitki, jak grupa rozbawionych dzieci. Po chwili wyszła w to samo miejsce mniejsza locha z kilkoma starszemi warchlakami.

Obie mamy buchtowały zawzięcie na jednem miejscu tuż obok siebie, starsze warchlaki, nie zaniedbując zabawy, starały się czynić to samo. Warchlaki były w ustawicznym ruchu, obraz tedy na linji zmieniał się często, raz było ich tam pełno, to znowu rozchodziły się i gubiły po krzakach, obie zaś mamy, przeraźliwe chude, tkwiły stale w jednem miejscu, ryjąc. Była chwila, że miałem dwa warchlaki na kilka kroków od siebie. Wyczuwszy naszą obecność (stałem z gajowym) — pobiegły do stada i tam widocznie opowiedziały swoje spostrzeżenie, bo po chwili całe towarzystwo weszło w gąszcz.

Widok podpatrzonego życia rodziny dziczej, obserwowany przez około trzy kwadranse, w korzystnem oświetleniu przez zachodzące słońce, godny był aparatu p. Puchalskiego.

W kilka minut potem słyszałem jak całe towarzystwo, czując się w gąszczach zupełnie bezpiecznem, głośno rechtając i pokwikując posuwało się zwolna i przeszło do sąsiedniego miotu. Działo się to w pobliżu leśnictwa i dwóch gajówek, skąd dochodził donośny odgłos szczekania psów i ludzkich rozmów.

Przechodzące dziki spłoszyły nadciągającego rogacza, który wypadł na nas, pokazał piękne parostki i srodze przestraszony błyskawicznie uszedł z głośnem szczekaniem.

Nie mając już nadziei spotkania się z nim tego wieczora, zeszliśmy ze stanowiska i udali na inne, w którego pobliżu miał wychodzić drugi rogacz. Niebawem usłyszałem charakterystyczne odgłosy gonienia rogacza za sarną, a po chwili zobaczyłem go na linji. Jakkolwiek dobry, nie dorównywał poprzednio widzianemu, nie strzelałem więc do niego.

Następnego ranka udałem się o wschodzie słońca na przygotowane poprzedniego dnia stanowisko, na którem przeżyłem piękne chwile obserwując dziki.

Idąc tam spotkałem w ciągu kilku minut trzy lisy, a krótko po zajęciu stanowiska zobaczyłem zdążającego ku mnie szybkim krokiem widzianego dnia poprzedniego rogacza, którego parostki poważnie wzbogaciły mój zbiór trofeów myśliwskich.

Troskliwa dbałość o spokój i bezpieczeństwo zwierzyny i racjonalny jej odstrzał, stworzyły w tem łowisku bardzo pomyślne warunki rozmnoży, umożliwiające spotkania w rodzaju powyższych.

Cześć Ci za to kochany Panie Janie!

Zygmunt Gronziewicz (Lwów).

Przypis od redakcji.

Mamy nadzieję, że nie popełnimy niedyskrecji, wyjawiając, iż był to las Glinna w powiecie buczackim.

●

TOWARZYSTWO MYŚLIWSKIE IM. ŚW. HUBERTA W JAROSŁAWIU

W ubiegłym sezonie łowieckim w rewirach: Jarosław, Jarosław — Łazy, Jarosław — Szwarcmanówka, Kruhel pawłosiowski, Wietlin, Tuczempy i Łowce odbyło się siedem polowań gremjalnych, w których brało udział od 8 do 14 myśliwych.

Ogółem padło 427 zajęcy i 2 kuropatwy.

Pozatem członkowie polując w pojedynkę ubili: 901 kuropatw, 18 przepiórek, 1 gęś, 105 kaczek, 22 kszyków, 14 chruścieli, 5 paszkotów.

Przy tej sposobności odstrzelono: 30 wron, 47 srok i 1 jastrzębia. Strażnicy łowieccy odstrzelili: 57 jastrzębi, 127 psów, 121 kotów, 196 wron, 204 srok i 20 łasic.

Koszty utrzymania rewirów łącznie ze strzałowem wynosiły bez podatku od polowania: 3.575 zł. 06 gr.

Celem podniesienia stanu zajęcy sprowadzono w styczniu 1939 r. z Dyrekcji Lasów Państwowych żywe zające.

●

WILCZYCA

Polując na rogacze na terenach łowieckich Klubu Myśliwskiego „Ponowa“ w Karpatach w miejscowości Klimiec, pow. Stryj, w dniu 15 czerwca, zastrzeliłem wilczycę. Strzał oddany do biegnącej z odległości około 40 kroków z Mannlicher - Schönauera, padła w ogniu. Wiek 2—3 lat, waga około pięćdziesięciu *kg*, jałowa.

Lwów, 21 czerwca 1939 r.

Inż. Tadeusz Serwatowicz.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

Odznaczenie. Pan Franciszek Dudek, podłowczy powiatu kolbuszowskiego, dyrektor lasów w Turzy koło Sokołowa, otrzymał Złoty Krzyż Zasługi za wybitną działalność społeczną.

●

Redakcja uprasza o nadsyłanie wiadomości i spostrzeżeń z tegorocznego rykowiska!

NEKROLOGJA

W „Łowcu Polskim“ z dnia 1 lipca b. r. pomieścił p. Michał K. Pawlikowski obszerniejsze wspomnienie o ś. p. Janie hr. Tyszkiewiczu, który zginął w katastrofie samolotowej. Wspomnienie to podajemy tu w streszczeniu.

Śp. Jan hr. Tyszkiewicz

b. poseł na Sejm, działacz społeczny, filantrop, niepodległościowiec i żołnierz, kawaler orderu Virtuti Militari, był również wielkim myśliwym. W dobrach swych Wola Murowana postawił hodowlę zwierzyny na wysokim poziomie, a w lasach Borsukowiny (dobra Wołożyńskie) zaprowadził prawdziwą hodowlę głuszców. „Głuszce wołożyńskie“ miały w Polsce całej, a nawet poza jej granicami, chlubną i zasłużoną renomę. Takiego skupienia wspaniałych i świetnie urządzonych tokowisk nie było w całym kraju. Myśliwy zaproszony do Borsukowiny miał do wyboru najróżnorodniejszą skalę wzruszeń — od wygodnego podejścia po suchych wrzosach i możności obserwowania i fotografowania tokującego ptaka, aż do ciężkich trudów mozolnego podchodu po bagnie przez wykroty i łozy. Polowanie na głuszce w Borsukowinie było obwarowane surowemi przepisami: pod groźbą utraty zaproszenia na sezon przyszły nie wolno było spacerować po tokowisku, albo zapuszczać się wgłąb. Myśliwy był zawsze zaopatrzony w busolę, by po strzale nie błądził po lesie i nie płoszył ptaków. O wynikach hodowlanych świadczy cyfra: dopuszczalny sezonowy odstrzał tokowików sięgał setki.

O sentymencie myśliwskim ś. p. Jana Tyszkiewicza niech świadczy taki fakt — cytujemy słowa p. Pawlikowskiego:

Przed kilku laty, a było to w parę miesięcy po Jego małżeństwie, spotkałem Go wiosną w Wilnie na ulicy. Zaczął mi opowiadać o swych świeżych wrażeniach z polowań wiosennych na cietrzewie na Polesiu.

— Nie przypuszczałem — mówił — że mamy jeszcze w Polsce takie wspaniałe toki cietrzewi. Proszę sobie wyobrazić, że tuż koło mojej budki tokowało na dobry strzał szesnaście kogutów.

— A ile hrabia zabił? — rzuciłem niedyskretne pytanie.

Uśmiechnął się:

— Żadnego... Byłem w towarzystwie żony i nie chciałem jej robić przykrości. A zresztą był to tak wspaniały, niezapomniany widok, że nic nie żałuję, że nie strzelałem...

Czyż w tych słowach nie zawarł się prosty a subtelny stosunek prawdziwego, rasowego myśliwego do żywej przyrody?

Ś. p. Tyszkiewicz stanął jeden z pierwszych w szeregach założonego przed 12 laty Tow. Łowieckiego Ziem Wschodnich (obecnego oddziału P. Z. Ł. w Wilnie) i był aż do śmierci żarliwym propagatorem ideowego łowiectwa.

Cześć Jego pamięci!

Biuro redakcji i Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego: Lwów, ul. Ossolińkich 11, drugie podwórze, schody 5 I p. drzwi Nr. 44. Godziny urzędowe 10 — 13. W sprawach redakcyjnych godz. 12. — Redakcja nie zwraca rękopisów przyjętych do druku i zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów. — Adres telegraf.: dla biura redakcji: „Łowiec“ Lwów Konto P. K. O. wspólne 510.171, tel. 218-59. Adres Oddziału Krakowskiego ul. Szlak 3, konto P. K. O. 405.265.

Wkładka roczna M. T. Ł. i P. Z. Ł. łącznie wynosi 10 zł. dla członków zwyczajnych, 5 zł. dla członków nadzwyczajnych, dla osób w służbie lasowej do stopnia leśniczego włącznie: 6 zł. dla członków zwyczajnych, 3 zł. dla członków nadzwyczajnych Prenumerata „Łowca“ wynosi 12 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie. — Cena pojedynczego numeru 1·10 zł.

Ceny ogłoszeń: cała strona okładki zł. 200, $^1/_2$ str. zł. 100, $^1/_4$ str. zł. 50, $^1/_8$ str. zł. 25, $^1/_{16}$ str. zł. 12·50. Na dodatkowych stronicach przed tekstem lub po tekście ceny te same. W tekście 1 *mm* szerokości 1 szpalty zł. —·50. Drobne ogłoszenia (płatne z góry) po 15 gr. za wyraz, tłusty druk po 20 gr. — Znaki pisarskie liczy się za słowa. — Najmniejsze ogłoszenie 2 zł. — Wkładki do numeru zależnie od umowy.

Redaktor naczelny: Witołd Ziembicki Wydawca: Małopolskie Towarzystwo Łowieckie

PIERWSZA ZWIĄZKOWA DRUKARNIA WE LWOWIE, UL. LINDEGO 4

ŁOWIECKIE RADY POWIATOWE

GRÓDEK JAGIELLOŃSKI

Protokół zebrania Pow. Rady Łowieckiej w Gródku Jagiellońskim, odbytego w Janowie Lwowskim dnia 12 lipca 1939 w sali Magistratu.

Obecni: Łowczy Pow. dr. Stanisław hr. Tyszkiewicz, podłowczowie: Inż. Józef Dobiecki, Jan hr. Gołuchowski, Kaz. Jackowski, J. Stanek, oraz członkowie Rady: Inż. M. Zieliński i K. Mysłakowski.

1. Protokół z ostatniego zebrania przyjęto do wiadomości.

2. Przyjęto do wiadomości dodatkowe sprawozdanie z zawodów w Gródku Jagiell. z dnia 20 i 21 maja b. r.

3. Podł. płk. Jackowski składa sprawozdanie z zawodów strzeleckich odbytych w Lubieniu dn. 18 czerwca b. r. i wyraża ubolewanie z powodu nielicznego udziału zawodników. Warunki zawodów były podane w swoim czasie w „Łowcu“. Liczne i piękne nagrody ufundowane tak przez osoby prywatne, jak i różne firmy, uświetniły w znacznym stopniu zawody. Tak chętne ofiarowanie nagród przez firmy świadczy o tem, że sport myśliwski znajduje coraz większe zrozumienie. Nad sprawozdaniem wywiązała się dyskusja, poczem referentowi, jako technicznemu organizatorowi zawodów uchwalono absolutorjum.

4. Ustalono terminy egzaminów łowieckich, t. j. w Lelechówce na dzień 22 lipca, w Wiszence na pierwszą połowę sierpnia, w Janowie na drugą połowę września.

5. Łowczy zawiadamia obecnych:

a) o niezatwierdzeniu przez Starostwo powiatowe wniosku o utworzeniu samoistnego obwodu łowieckiego w Łozinie ze względu na niedostateczny obszar,

b) o mianowaniu przewodniczącymi sądów rozjemczych pp. Niedzielskiego dla gmin Janów, Domażyr i Łozina, oraz Jackowskiego dla gmin Lubień i Stawczany, a to zgodnie z wnioskiem łowczego,

c) o wystosowaniu pism do Starostwa pow. i Komendy powiat. P. P. w sprawie nakazu trzymania psów na uwięzi,

d) o mianowaniu przez Wydział M. T. Ł. p. Ernesta Stauffera podłowczym,

e) o zgłoszeniu 2 nowych członków zwycz. pp. Śmiałowskiego i Zaborskiego,

f) o wydaniu przez p. prezesa Apelacji we Lwowie okólnika do pp. sędziów i prokuratorów o potrzebie surowego karania kłusownictwa,

g) o zmontowaniu wyrzutni w Janowie Lwowskim.

6. Podł. Jackowski prosi o poruszenie sprawy obniżenia cen na amunicję do trenowania. Łowczy wyjaśnia, że sprawą tą zajęła się już Rada Naczelna P. Z. Ł. Podł. Jackowski stawia wniosek, by urządzić w Janowie zawody towarzyskie myśliwskie oraz poprzedzające je treningi dla członków M. T. Ł. z powiatu gródeckiego. Uchwalono urządzić treningi w dniach 23 lipca, 13 sierpnia oraz 3 września, zawody zaś w dniu 10 września. Bliższe szczegóły zostaną ogłoszone w swoim czasie w sklepie Warszawskiej Spółki Myśliwskiej we Lwowie.

Sekretarz: *Inż. Józef Dobiecki.* Łowczy powiatowy: *Dr. Stanisław hr. Tyszkiewicz*

KARTY ŁOWIECKIE W B. CZECHOSŁOWACJI

„Deutsche Jagd“ Nr. 17/1939 zamieszcza na str. 309 rozporządzenie Łowczego Rzeszy oraz Ministra Spraw Wewn. z dnia 7 lipca b. r. w przedmiocie wydawania kart łowieckich osobom, będącym ex-obywatelami byłej Czechosłowacji.

1. Obywateli narodowości niemieckiej w Sudetach i Protektoracie uważa rozporządzenie za przynależnych państwowo do Rzeszy niemieckiej i tym wydaje się karty łowieckie z ważnością na cały obszar Rzeszy. Muszą oni wszelako zaopatrzyć się w dokument, stwierdzający ich przynależność do narodu niemieckiego (Volkszugehörigkeit). Za wystarczający uważa się dokument stwierdzający członkostwo partji narodowo - socjalistycznej lub poprzednie członkostwo partji Niemców sudeckich.

2. Wobec wszystkich Czechów, obojętne czy mieszkają w obrębie Protektoratu Czech i Moraw, czy w granicach Rzeszy, stosuje się przejściowo odmienne przepisy. Wydaje się im karty łowieckie jak dla cudzoziemców, jednak za normalną opłatą, z ważnością na obszar byłej Czecho - Słowacji w/g. granic z 30. IX. 1938. Odmawiane będą z reguły karty łowieckie tym Czechom, których Gestapo określi jako politycznie niepewnych. Jeżeli taki II klasy obywatel zamierza ubiegać się o kartę łow. z ważnością na cały obszar Rzeszy, wyłączną decyzję zastrzega sobie Min. Spraw Wewn. Co do ważności niemieckiej rocznej karty łowieckiej na obszarze Protektoratu, posiadacze tych kart muszą przejściowo starać się o dodatkową kartę u władz Protektoratu. *Z. P.*

ODEZWA DO LEŚNIKÓW

W dniach między 1 a 5 lipca 1940 roku odbędzie się w Helsinkach III Międzynarodowy Kongres Leśny.

Od II Kongresu Leśnego odbytego w Budapeszcie w 1936 roku upłynęły 3 lata. W okresie tym leśnicy wszystkich krajów pracowali nad postępem leśnictwa. Generalnym przeglądem tego dorobku będzie przyszłoroczny Kongres, na którym nie może zabraknąć przedstawicieli leśnictwa polskiego. Nasze zdobycze na polu leśnictwa stanowią cenny wkład do ogólnego dorobku naukowo i gospodarczo-leśnego i z tego względu zdobycze te powinny być zaprezentowane na III Międzynarodowym Kongresie.

Organizacją udziału leśników polskich w Kongresie zajmuje się zatwierdzony przez Ministra Rolnictwa i R. R. „Polski Komitet dla spraw III Międzynarodowego Kongresu w Helsinkach“, który na zebraniu organizacyjnym, odbytem w dniu 30 czerwca b. r. postanowił m. i. zwrócić się z apelem do Leśników Polskich, zamierzających wziąć udział w tym Kongresie, o nadsyłanie zgłoszeń uczestnictwa i odpowiednio opracowanych referatów z dziedziny leśnictwa, interesujących Kongres, a reprezentowanych w następujących 9 sekcjach:

I. Hodowla lasu i jej przyrodnicze podstawy.

Nauka o glebie łącznie z zagadnieniem gleb bagiennych. Botanika. Meteorologja. Osuszanie bagien i inne meljoracje gruntowe. Gatunki drzew leśnych. Lasy i ich ulepszanie. Nasiona. Szkółki. Naturalne i sztuczne odnawianie drzewostanów. Pielęgnowanie drzewostanów łącznie z podkrzesywaniem.

II. Ochrona lasu.

Zwierzęta i rośliny szkodliwe dla lasu. Ochrona przed pożarami. Ochrona przed wiatrem, śniegiem, suszą i innemi czynnikami atmosferycznemi. Erozja. Regulacja potoków.

III. Ocena wartości i urządzanie lasu.

Dendrometrja. Aerofotogrammetrja leśna. Szacowanie lasów. Produkcja i przyrost. Zagospodarowanie. Obliczanie etatu. Rachunkowość leśna.

IV. Użytkowanie i zbyt drewna.

Pozyskanie i sortymentacja drewna. Zwłóczka, transport i składowanie. Organizacja pracy.

V. Mechaniczny przemysł drzewny.

Własności drewna i badania nad drewnem. Tartacznictwo. Przemysł strugarski. Stolarstwo. Przemysł dyktowy. Wyrób przedmiotów z drewna. Przemysł zapałczany.

VI. Chemiczny przemysł drzewny.

Przemysł celulozowy i masy drzewnej. Przemysł papierniczy. Produkcja płyt i sztucznych surowców drewna. Cukier drzewny. Węgiel drzewny. Płynne i gazowe materjały pędne pochodzenia drzewnego.

VII. Polityka leśna.

Systemy polityki leśnej. Ustawodawstwo. Kategorje własności leśnej. Zalesianie. Zagadnienia ekonomiczno - pasterskie. Subwencjonowanie własności leśnej przez Państwo. Spółdzielczość. Ubezpieczenia. Kredyty. Sprawy robotnicze. Nauczanie. Poradnictwo i propaganda.

VIII. Statystyka leśna i statystyka przemysłu drzewnego.

Zapasy leśne, ich eksploatacja i wystarczalność. Ceny i obrót handlowy. Międzynarodowy obrót drzewny. Konsumcja drewna i propagowanie drewna.

IX. Ochrona przyrody i stosunek lasu do otoczenia.

Rezerwaty, pomniki przyrody i parki narodowe. Turystyka. Pasterstwo. Łowiectwo.

Referaty powinny być krótkie, posiadać objętość nie większą niż pół arkusza druku (8 stron) i być zaopatrzone w streszczenie w języku francuskim, angielskim lub niemieckim.

Uwzględniając wytyczne zawarte w zaproszeniu Centralnego Komitetu (zaproszenie to zostało opublikowane w Nr. 6 „Lasu Polskiego“ 1939 r.) Polski Komitet Narodowy ustalił następujące terminy:

1) dla nadsyłania tematów, które mają być opracowane przez poszczególnych autorów polskich — 15 września 1939 r.,

2) dla nadsyłania ostatecznie opracowanych referatów, których tematy zostały zgłoszone Komitetowi do dnia 15. IX. 1939 r. — 10 listopada 1939 r.,

3) dla zgłaszania uczestnictwa w Kongresie i zamknięcia prowizorycznej listy zgłoszeń — 1 grudnia 1939 r.,

4) dla dokonywania wpłat na poczet kosztów związanych z udziałem w Kongresie, w wysokości 55 złotych (pięćdziesiąt pięć złotych) od każdego uczestnika — 1 grudnia 1939 r. (zgłoszenia uczestnictwa nieuzupełnione dokonaniem wymienionej wpłaty, nie będą przez Komitet uwzględniane.

Zgłoszenia uczestnictwa, tematów do referatów, referatów, oraz obowiązującą wpłatę należy kierować do: „Sekretarjatu Komitetu dla spraw III Międzynarodowego Kongresu Leśnego“, Warszawa — Ochota, ul. Wawelska 54, pokój Nr. 188.

ZA KOMITET

Sekretarz: *(—) Władysław Płoński.*

Przewodniczący: *(—) Jan Miklaszewski.*

Podziękowanie

Za nadzwyczaj skuteczne wyleczenie na klinice okulistycznej Akademji Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, mego psa z ciężkiego wrzodu na rogówce, oraz za okazaną przytem troskliwą i życzliwą opiekę składam serdeczne podziękowanie JWP. Prof. Dr. Gajewskiemu oraz P. P. Asystentom doktorom: Przybylskiemu, Michalskiemu i Stelmachowi.

Janina Biedermanowa

DO POLOWAŃ ▪ **BUTY** STANOWCZO NIEPRZEMAKALNE



E. JAREMA

LWÓW, Kopernika 2

Nakładem i staraniem Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego we Lwowie opuścił prasę

Katalog wydawnictw z zakresu techniki i dziedzin pokrewnych na rok 1939

Katalog uzupełniany do ostatniej chwili obejmuje na 84 stronicach wszystkie publikacje, które się znajdują na półkach księgarskich i są do nabycia w księgarni wydawcy tego katalogu, jak również i w innych księgarniach. Katalog ma służyć fachowcom do zorjentowania się, jakie dzieła z jego specjalności wyszły w polskim języku. Sądzimy, że oddajemy światu technicznemu przysługę opracowaniem i wydrukowaniem tego cennego katalogu. Prenumeratorzy „Łowca" otrzymają na żądanie katalog bezpłatnie. Mamy nadzieję, że nasze najlepsze chęci służenia światu technicznemu znajdą uznanie wśród zainteresowanych i że będą oni chętnie z naszej oferty korzystać.

BERNARD POŁONIECKI — KSIĘGARNIA POLSKA
Lwów, ul. Akademicka 2 a, Tel. 204-32 i 213-04

TANIA, MIŁA, TRWAŁA PAMIĄTKA

Zbiór nowel pod tytułem:

WESOŁE OPOWIADANIA MYŚLIWSKIE

Wydawnictwo redakcji „Łowca"

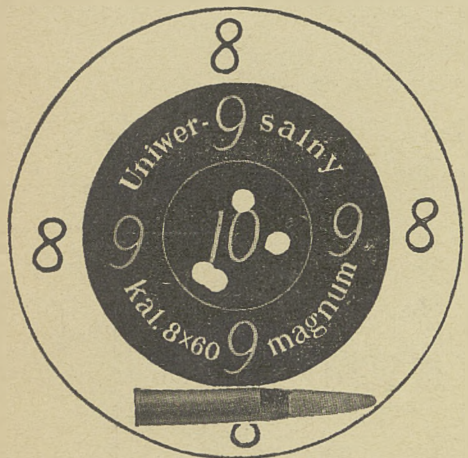
Obejmuje utwory literackie nadesłane w związku z konkursem „Humoru myśliwskiego" jakoteż pozakonkursowe, drukowane w „Łowcu" w ciągu roku 1938, a teraz wydane osobno, na papierze bezdrzewnym, w kartonowej okładce.

Na zbiór ten składają się mianowicie utwory następujących autorów: T. Niwickiej, J. Jarzymowskiej, A. Zolla, K. Szczepańskiego, R. Niementowskiego, W. Maryańskiego, A. Rzewuskiego i St. Gajewskiego.

Cena egzemplarza 1 zł 80 gr

Do nabycia w biurze M. T. Ł. i w księgarniach

Duży wybór:



(Odległość 100 m), broń Mannlicher Schönauer

Karabinków kal. 5,6 x 35 (vierlingi)
jedno i 5-cio strzał. V_0. 800 *m/s*.

Sztucerów Mannlicher Schönauer
o nowoczesnych kalibrach

Dubeltówek światowych firm
(od 220·— zł. bezkurkowe)

Trzylufek,

oraz wszelkiej amunicji i przyborów poleca po cenach niskich:

WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

ODDZIAŁ WE LWOWIE

Plac Marjacki 4 **Telefon 244-61**

Montaże lunet na miejscu we własnych warsztatach. — Jako wpłatę przyjmujemy broń używaną.